

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 17 (35)

Jerozolima, 1 września 1944 r.

Rok II

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

W A R S Z A W A

„...gdy w ogniu będzie stać Warszawa
i świętym stanie się jej bruk”.
(Władysław Broniewski —
„Bania z poezją”)

Są miasta, które zyskują sobie serca łatwo — jak piękne kobiety, które wiedzą o tym, że są kochane i rozciągają wdzięk, zniewalający serca. W Polsce miastem kochanym jest Lwów, jest Wilno. Mieszkańcy Lwowa i Wilna obnoszą swą przynależność do nich dumnie i widocznie, jak fałdy zarzuconego na ramiona płaszcza. Urok Lwowa i Wilna, ich wdzięk i piękno, atmosfera serdeczna trafiają od razu do każdego przybysza i ciepło w nim dla tych miast budzą uczucia.

Są miasta stateczne, poważne, o jasnej dyspozycji uregulowanego życia. Miasta pracy wytrwałej i równego postępu. Miasta zrozumiałego dla każdego rytmu i czystego oblicza. Miastem takim jest Poznań.

Są miasta zapatrzone w przeszłość, których skupienie zdaje się zakładać krok nowego przybysza. Miasta, których każdy kamień jest pamiątką i których muzealność jest tak oczywista, że mimowoli chciałoby się spytać, w jakie dni tygodnia bywają otwarte. Miastem dziejów Polski jest Kraków.

Są miasta brzydkie, pachnące dymem kominów, pokryte sadzą, biyszczące mętną kałużą rynsztoka. Czasem ścieki ożłoci promień słońca. Czasem brzydkie miasto ukocha jakieś gorące serce, potrafi do wyżyn poezji podnieść jego szpetotę i słowem wiązaniem ozdobić nawet najbrzydsze z wielkich miast polskich — Łódź.

Warszawa była najczęściej dyskutowanym miastem w Polsce. Jej niedbały wdzięk brał szturm serca jednych i odrzucał drugich. Krytykowano warszawską lekkomyślność, skłonność do życia nad stan, powierzchowność sądów, łatwą błagę. Wydziwiano na warszawskie gusta, dysproporcje w obrazie miasta, lubowanie się w języku „Wiecha” — w ogóle na „warszawistów”. Wspominano czasem bohaterkie dni Warszawy z okresu powstań, czy „krwawej środy” — lecz było wiele nieporozumień między Warszawą a resztą kraju. Często imponowała, czasem gorszyła — stąd jakieś niedomówienia, większe i mniejsze rozdziewki.

W okresie Polski, podzielonej przez rozbiory, każdy zabór miał swoją stolicę. A i później w latach odrodzonej Rzeczypospolitej nie zdawano sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia Warszawa jest... Polska.

Trzeba było tych czterech tygodni września roku 1939, by Warszawa zrzuciła swą zewnętrzną skorupę. By z głębi serca miasta powstał ów zryw heroizmu, który na gruzach walących się domów zjednoczył żołnierza, robotnika i inteligenta we wspólnej walce. By oczom zdumionego świata przedstawić wolę oporu i trwania, beznadziejnego wysiłku ramion, spychających wielokrotną przewagę, zapamiętania serc, bijących dla wolności.

Trzeba było owych dni wrześniowych, by cały naród kornie uchylił czoła przed bohaterstwem Warszawy, by pierwszym aktem Rządu na wygnaniu było nadanie jej krzyża „Virtuti Militari”. W roku 1939 Warszawa stała się miastem honoru Polski.

I trzeba było pięciu lat codziennego męstwa w walce z Niemcami, a wreszcie dni sierpniowych roku 1944, by uprzytomnić wszystkim Polakom, jak bardzo sprawy Warszawy są sprawami całego Państwa. Warszawa stała się miastem dążeń Polski. Żadne słowo w języku polskim nie nabrało w ciągu tej wojny tyle nowej treści uczuciowej i politycznej — co to jedno słowo: Warszawa.

Legenda chce, że Warszawa powstała jako osada rybacka. Wysokie zbocze, na którym rozsiadły się pierwsze jej domy, mogło być również miejscem obozu warownego, strzegącego przeprawy przez Wisłę.

Samym więc początkiem swego istnienia Warszawa związana jest z Wisłą — wówczas wschodnią granicą Polski. Rozlewny bieg rzeki, piaszczyste czy podmokłe, niskie jej brzegi mało dawały możliwości budowy osiedli przy zmiennym wciąż korycie. Wzgórze warszawskie panowało nad nurtem wodnym, nad szeroką połacią nizinnego kraju. Przyciągało żyznością gliniastej ziemi. Zabezpieczało przed klęską wylewu, czy plagą łupieżczych napałów.

Warszawa rosła nad dwoma brzegami głębokiego jaru, zrazu jako dwa odrębne

osiedla, później złączone nazwą Starego i Nowego Miasta. Warszawa książąt Mazowieckich — to jedno z miast jednej z prowincji Polski, rywalizujące w zależności od okresu z Czerskiem, Zakroczymiem, Wizną, Łomżą lub Płockiem.

Gdy na tronie krakowskim panowali Piastowie, Mazowsze było kresami Polski. Na północny wschód od Mazowsza zaczynało się wództwo Jądzwingów, Prusaków, Litwinów. Później rozsiadł się na dzierzawach pruskich Zakon Krzyżacki. Książęta Mazowieccy zdobywali z trudem nowe ziemie. Panowanie ich rozciągało się już nie tylko nad Wisłą, lecz i nad Narwią.

Kiedy korona polska przeszła do Jagiellonów, Piastowie Mazowieccy dość niechętnym okiem patrzyli na nową dynastię, świadomi swych praw rodowych jako najbliżsi po mieczu spadkobiercy Bolesławów i Kazimierzów. Próbowali przez małżeństwa wzmocnić swą pozycję. Do dalekiego Wiednia, za żonę Habsburgów dają piękną księżniczkę Cymbarkę. Pakując też chętnie z Zakonem, sięgającym coraz chętniej po nowe zdobycze.

Rola polityczna Warszawy w dziejach Polski rozpoczyna się więc u schyłku świetnych, a na początku trudnych lat narodu.

Korzystne położenie Warszawy staje się coraz oczywistsze. Środkowy bieg Wisły nie jest już granicą Polski, płynie ona przez samo serce ziem koronnych. Na Litwę bliżej stąd znacznie niż z Krakowa. W Warszawie spędza czas swój Anna Jagiellonka, gdy maż jej, Stefan Batory, zabezpiecza wschodnie rubieże Państwa. Pod Warszawą, na błoniach Woli odbywają się elekcje. Nie tylko względy geograficzne grają decydującą rolę w wyborze miejsca elekcji. Lata panowania pierwszych królów obieralnych to okres walki o wpływy, o ustrój wewnętrzny Polski. Zamoyski w sporach z możnowładztwem dąży do oparcia się na szerokiej masie szlacheckiej. Wyznacza miejsce wyborów królewskich pod Warszawą, bo Mazowsze to kraj drażkowych kasztelanii i biednej szlachty. Nie stać jej było na odległe podróże, lecz tłumnie przybywać mogła do pobliskiej Warszawy. Zamoyski bierze na siebie rolę trybuna demo-



Warszawa zawdzięcza wiele książętom Mazowieckim, szczególnie dwóm ostatnim: Stanisławowi i Januszowi, którzy już wyraźnie ją sobie upodobili ponad wszystkie inne grody ich księstwa.

Kazimierz Jagiellończyk rozpoczął zbieranie ziem mazowieckich po wymarcu poszczególnych gałęzi Piastów. Dzieła tego dokończył ostatecznie Zygmunt Stary. W przyłączonej do Korony prowincji Warszawa była już wówczas miastem najznamienitszym.

W wielkiej monarchii jagiellońskiej Kraków jest zbyt odległy od znacznej części jej ziem wschodnich. Gdy interesy dynastii nakazywały, by stolica leżała blisko Czech i Węgier — Kraków mógł rolę tę dobrze wypełniać. Po układzie wiedeńskim i klęsce pod Mohaczem nadszedł kres panowania Jagiellonów w Pradze i w Budapeszcie. Zygmunt August kieruje wzrok swój ku północnemu wschodowi — ku Litwie i Inflantom. Wciąż jest w podróżach między dwoma swymi stolicami: Krakowem i Wilnem. Na miejsca obrad sejmów wyznacza miasta, leżące gdzieś w połowie drogi — Piotrków czy Lublin. Za rządów jego przeznaczenie jakby chodźło dookoła przyszłej stolicy Rzeczypospolitej — do końca jednak lat ostatniego z Jagiellonów Warszawa nie odegrała większej roli w życiu politycznym Polski. Szczytowy akt państwowym dynastii: unia r. 1569 związana jest z imieniem Lublina. I dopiero pierwsze ważniejsze wydalenie bezkrólewia, podpisane w rok niespełna po śmierci Zygmunta Augusta akt konfederacji, kładącej kres zamieszkom religijnym, nosi już miano Konfederacji Warszawskiej.

kracji szlacheckiej, buduje podwaliny systemu, który później stał się niemożliwy przez Liberum Veto i skarlał przez obronę kastowej „Złotej Wolności”.

W Warszawie tworzy się więc nagle główny ośrodek polityczny Państwa. Na stałe przenosi swą rezydencję do Warszawy Zygmunt III. Oprócz wszystkich innych powodów ma on do tego swoje własne: dziedziczny król Szwedów, Gotów i Wandalów marzyć będzie przez całe swe panowanie o odebraniu należnego mu tronu w Stockholmie. Z Warszawy bliżej znacznie do morza, do Szwecji — niż z Krakowa.

Warszawa, rezydencja królewska, rozwija się szybko. Tak szybko, że nawet w nazwach nowopowstających ulic zawarta jest ich odrębność od dotychczasowego trzonu miasta. Szereg pięknych pałaców wyrasta na ulicy, zwanej Krakowskie Przedmieście. Zabudowują się okoliczne wsie i folwarki, dążą do złączenia się z Warszawą.

Blisko trzy ćwierci wieku panowali Wazowie w Polsce. Za tych to lat Rzeczpospolita przeszła przez swój szczytowy rozwój i stanęła wobec widma przyszłego upadku.

Pierwsze stulecie Krakowa jako stolicy Polski pozostają pod znakiem bliskiego jego sąsiedztwa z Niemcami. Warszawa przez cały czas swej stołecznej roli jest w jakimś stosunku do Rosji. Za Zygmunta III biją pokłony w Warszawie kniaziewie Szujscy, syn królewski sięga po tron moskiewski. Lecz książę Skarga ostrzega już przed groźnymi niebezpieczeństwami, rosnącymi na drodze dalszego rozwoju Polski.

W numerze:

K. Grzybowski: Niepodległość i gospodarka narodowa. — W. Weintraub: Paryż redivivus. — Z. Broncel: Sens śmierci. — K. Wierzyński: Czemże ja jestem. — R. Fajans: W oswobodzonym Rzymie. — L. Brzeski: Z frontu włoskiego. — G. Dardaud: Bunt paryżan. — S. Fischlowitz: I.L.O. — A. Janta: Wiersze: Sygnał w pustce. Tryptyk apo(ka)li(p)tyczny. Parabola. Przypowieść z Cervantesa. — Z. Zawadowski: Gdańsk 1 września 1939 r. — I. Minder: First Look on England. — hsd: Pośród książek. — H. S. Dominik: Opinie angielskie. — js.: Kobieta w Czerwonym Krzyżu. — Z prasy obcej. — ww.: Przegląd polityczny. — jwh.: Nauka polska w Iranie.

Swój chrzest cierpienia Warszawa przechodzi w czasie „Potopu”. Szwedzi niszczą i plądrują miasto, w r. 1656 po trzydniowej bitwie pod jej murami stolica dostaje się w ich ręce.

Te pierwsze bolesne dni Warszawy - Stolicy łączą się w czasie z uprzytomnieniem światu słabości Rzeczypospolitej. Będzie jeszcze Polska przeżywać swe dni chwały na polach Chocimia czy Wiednia, ale od tych to lat datują się pierwsze projekty podziału Polski.

Rany, zadane miastu, goją się szybko. Za Sobieskiego przybywają Warszawie kościoły, zagospodarowuje się pięknie folwark Żoliborski i marymoncki, powstaje podmiejska rezydencja w Wilanowie. W czasach saskich rozwój miasta jest powolniejszy. Przechodzą przez Warszawę obce wojska. Między innymi po raz pierwszy stolica widzi mundury rosyjskie. Augustowie mieszkają częściej w swym Dreźnie, niż w Warszawie. Koło połowy wieku XVIII porządkuje ją marszałek wielki koronny — Bieliński, lecz właściwym twórcą piękna Warszawy stał się dopiero Stanisław August.

Ocena życia i dokonani Stanisława Augusta Poniatowskiego zmienna jest, w miarę jak zmieniają się losy Rzeczypospolitej i epoki, w której historycy opisują trzydziestoletnie panowanie ostatniego króla Polski. Być może, że najnowsze przejścia narodu polskiego wpłynęły na przerobienie poglądu osiągnięć monarchy i jego niepowodzenia politycznego.

Stanisław August był prawdziwym królem Warszawy. On pierwszy zerwał ze zwyczajem koronacji w Krakowie. Za jego panowania Warszawa jest nie tylko rezydencją, lecz i stolicą. Aleksander Humboldt, pisząc o Warszawie tych lat, nazywa ją miastem pałaców. Król i magnateria budowali pałace, jednak powstawały też szkoły, teatr — bogaciło się i zagospodarowywało mieszczaństwo.

Warszawa знаła słabości króla Stasia, widziała miękkość jego charakteru, brak decyzji w trudniejszych chwilach. Ale Warszawa dzięki temu królowi była stolicą europejską, miastem, do którego wędrowali artyści i poeci, gdzie na czwartkowych obiadach w Łazienkach rozprawiano o filozofii i sztuce na poziomie nie gorszym niż w Wersalu czy w Sans Souci.

Krytykowano króla bardzo. Równocześnie te, jak je sam nazywał, „marzenia” królewskie stały się pierwszym projektem Konstytucji 3 maja, a ze Szkoły Rycerskiej, założonej przez niego, wyszedł późniejszy Kościuszko.

Warszawa Poniatowskiego robi wielki wysiłek dopędzenia Europy po czasach saskiego sprowincjonalnienia. Myśli ona już wtedy i czuje za Polskę i w nią pada pierwszy straszliwy cios w chwili, gdy naród skupił się w dążeniu naprawy Rzeczypospolitej, gdy wystąpił o ideały swe do walki.

Kiliński, krwawa Wielkanoc warszawska r. 1794 — to symbole rozpoczynającej się wielkiej roli stolicy w następnych stu lat. 7 listopada 1794 — dzień rzezi Pragi, to początek martyrologii narodu, niezłomnie walczącego o swe prawa.

Przed stu równo laty, w r. 1814 ukazała się w Lipsku dziwna książka. Tytuł jej brzmi: „Warschau, eine russische Hauptstadt”, a poświęcona jest... ceniom K. ścisuski. Autor jej C. Goehring opisuje jeszcze po pięćdziesięciu latach widoczne ślady rzezi Pragi z r. 1794. Uwypukla także ducha nieugiętego miasta, którego ulice pełne są obcego wojska i policji. Nad miastem góruje zbudowana w r. 1835 Cytadela. Szlak oś Zamku do Belwederu jest szczególnie starannie utrzymany, bo tylni ulicami jeździ namiestnik, feldmarszałek Paskiewicz, który za powtórne wzięcie Warszawy w r. 1831 dostał tytuł księcia Warszawskiego.

Nie on pierwszy; tego tytułu używał. Gdy Napoleon bał się odbudować Polskę, stworzył państwo, zwane Księstwem Warszawskim. Już w tych więc czasach, gdy nie chiano mówić Polska — mówiono Warszawa. Stało się to zwyczajem. O upadku powstania r. 1831 za-komunikował Izbie Deputowanych w Paryżu generał-minister Sebastiani w swym słynnym zdaniu, że „porządek panuje w Warszawie...”

Warszawa nie schodzi już z roli swej ośrodka kulturalnego kraju, do której wy-

¹⁾ Warszawa, stolica rosyjska.

niósł ją Stanisław August. W czasach bezpośredniego po rozbiorach kontynuuje pracę krzewienia oświaty. W r. 1800 założono Towarzystwo Przyjaciół Nauk. W latach Księstwa kształtuje się w Warszawie pierwsze pokolenie inteligencji. W r. 1816 powstaje w Warszawie Uniwersytet. Ustępuje on wprawdzie znaczeniem będącej wówczas w pełni rozkwitu uczelni wileńskiej, ale w ciągu swego kilkunastoletniego istnienia (do r. 1832) kształci dalsze zastępy inteligencji. Od początków wieku XIX Warszawa staje się równie siedzibą wysokiej hierarchii kościelnej. W latach Polski Przedrozbiorowej Prymasi Polski, arcybiskupi gnieźnieńscy, nie chcieli widzieć stolicy biskupiej w Warszawie. Była ona archidiecezją Gniezna. W czasach Królestwa Kongresowego powstaje arcybiskupstwo warszawskie, a Woronicz zaczyna używać tytułu Prymasa Królestwa Polskiego.

Od końca w. XVIII Warszawa nie przestaje odgrywać roli głównego ośrodka politycznego Polski. Wolnomularstwo i węglarstwo polskie skupia się przede wszystkim w Warszawie. A gdy przyszła Noc Listopadowa, powstaje pieśń, zwana „Warszawianką” — „Oto dziś dzień krwi i chwały...” mówią jej słowa. Dni krwi i chwały Warszawy nie kończą się już przez następne lata. Z myślą o Warszawie idzie w świat pielgrzymstwo polskie. I pisze w „Księgach Narodu Polskiego” Mickiewicz: „Jeden dzień zaszedł z pierwszym wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy, a trzeci dzień wnidzie, ale nie zajdzie”.

Warszawa przed stu laty liczyła sto pięćdziesiąt pałaców i sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Całe jej życie gospodarcze uzależnione było przede wszystkim od sytuacji rolnictwa. Wojny napoleońskie pozostawiły rolnictwo Królestwa w stanie opłakany, zniszczenie w r. 1819 cel na zboże rosyjskie było dalszą katastrofą dla wielu gospodarstw rolnych. Warszawskie Towarzystwo Kredytowe Ziemiśkie służy pomocą zadłużonym majątkom. Dookoła Banku Polskiego rozwija się inicjatywa przemysłowa kraju. Jest to okres bohaterski grynderek przemysłowych. Powstają pierwsze większe fabryki i manufaktury. Mieszkaństwo podziwia rozmach Steinkellera, szlachta gorszy się trochę, że Lubieński „ima się przemysłu”, a dookoła osiemnastowiecznych pałaców powstają zgrupowania fabryczne.

Praca organiczna po klęsce powstania listopadowego obejmuje też wieś. Towarzystwo Rolnicze wprowadza pierwsze zasady racjonalnej gospodarki. Równocześnie na zjazdach klemensowskich obok sprawy, czy trójpółka ma być zastąpiona przez czteropółkę, raz po raz wypływają zagadnienia polityczne. Z czasem na ważniejsze obrady Towarzystwa Rolnicze zbiera się w Warszawie.

Powstanie r. 1863 jest dziełem Warszawy. Pełne napięcia lata przedpowstaniowe, konflikt Wielopolskiego ze społeczeństwem, liczne manifestacje — wszystko to było przejawem jej odczuć i reakcji. Powstaniem kieru-

ją szarzy ludzie warszawscy. Gdy zamożniejsza szlachta i chłopci wahał się z przystąpieniem do powstania — w Warszawie istniał Rząd Narodowy, wydawał dyspozycje i rozkazy.

I znowuż cios moralny wskutek upadku powstania był najsilniej odczuwany w Warszawie. Szubienice Cytadeli były widomym znakiem nowych, strasznych lat. „Tylko bez marzeń” — mówił do Polaków Aleksander II za swej pierwszej bytności nad Wisłą po r. 1863.

W ciągu ostatniego trzydziestolecia wieku XIX Warszawa nabiera obok treści politycznej nowej treści społecznej. Socjalizm, pozytywizm przeorywują gruntownie myśl polską tej epoki. Warszawa idzie na czele ruchu w tym kierunku. Głośno rozbrzmiewają hasła zerwania z romantyzmem, nieplodnym i nieżyłowym. Warszawa jest wielkim miastem i na chwilę — przestaje być stolicą Polski. Chce odejść od przeszłości. Gdy w latach między powstaniami, myśl polityczna Polski rozwija się przede wszystkim na szlakach Wielkiej Emigracji, pokolenie „Proletariatu”, organizacji pochodnych od Ligi Polskiej, współpracowników „Prawdy” odrywa się od dawnych marzonek. Zdziwiałoby się, jak jeden z największych talentów pisarskich epoki, Aleksander Świętochowski, nie odczuwa treści politycznej lat bezpośrednio przed nim. Nigdy myśl polityczna polska nie była tak oddalona od rozumowania kategoriami polskiej racji stanu, jak wówczas. Wydawało się, że samo rozważanie tego, że może istnieć Państwo Polskie, jest czymś przestarzałym i niemodnym wobec tylu innych problemów, które niosł ze sobą postęp ludzkości.

Lecz oto „krwawa środa” i wypadki warszawskie lat 1905—1907 wykazały, że ruch społeczny łączy się z ruchem niepodległościowym, że Polska Partia Socjalistyczna jest nie tylko socjalistyczna, lecz i polska.

Wojna r. 1914 zastała Warszawę w pełni dyskusji nad „orientacją”. „Szyły tedy pułki kozackie, orężna szła tedy moc”, pisze w końcu r. 1914 Słoiński, którego wiersze deklamowała wówczas cała Warszawa. Przez Warszawę szły nie tylko pułki kozackie, lecz i syberyjskie i inne. Witano je ze zmiennymi uczuciami. Świadomość niebezpieczeństwa germańskiego dla Polski była na ogół silna w Warszawie. W rosyjskich oddziałach widziano przyszłych zwycięzców Niemiec. Odezwa Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza kazała zapomnieć o niepowodzeniach polityki ugody, zakończonej oderwaniem Chełmszczyzny w r. 1912 i budową soboru na Placu Saskim.

W zależności od „orientacji” część Warszawy witała kwiatami rosyjskie oddziały, chodziła odwiedzać rannych żołnierzy i oficerów, cieszyła się, że „nasze” wojska zajęły Lwów. Inna część recytowała „Sen o szpadzie” Słoińskiego:

Ty mnie nie pytaj, kto zwycięży,
czyj tryumfalny słychać śpiew —

naszego nie masz tam oręza,
choć się leje nasza krew.
Inna jeszcze część w kadrach organizacji przysposobienia wojskowego gotowała się do przyszłej służby żołnierskiej.

„Trochę kocha, często się śmieje, rzadziej szlocha” — mówi piosenka o Warszawie z czasów poprzedniej wojny. Okupacja niemiecka w latach 1915—1918 nie była dla Warszawy ciężka. Przeciwnie — Niemcy kokietowali Polaków. Do r. 1914 Królestwo Kongresowe było jedynym bodaj krajem rasą białą, który nie miał samorządu miejskiego. Niemcy samorząd ten wprowadzili. Prezydentem Warszawy zostaje popularny książę Zdzisław Lubomirski. Warszawa zobaczyła znowuż po stu blisko latach polskie mundury. 5 listopada r. 1916 ogłoszony został przez Państwa Centralne akt odbudowy Polski. Stworzona została Rada Regencyjna i Rada Stanu. Kucharszewski formuje w końcu r. 1917 pierwszy rząd. Odrodzony Uniwersytet zaludnia się liczną rzeszą słuchaczy.

Aż przyszedł wielki dzień, gdy Warszawa stała się naprawdę wolną. Kilkunastoletni chłopcy rozbierają niemieckich żołnierzy. Warszawa jest stolicą zmartwychstałego Państwa Polskiego.

Dwudziestolecie międzywojenne jest dla Warszawy okresem wytężonej pracy. Szare i zaniedbane miasto musiało dorósć do roli stolicy nowoczesnego Państwa. Brakowało wszystkiego — domów, bruków, rur kanalizacyjnych, wagonów tramwajów. A oto latem r. 1920 niebezpieczeństwo obecnej inwazji znowuż zbliża się do Warszawy. W Belwederze obraduje Rada Obrony Państwa. Powstaje Armia Ochotnicza. Na ulicach Warszawy rozdają kokardki ochotnikom. Dni sierpniowe r. 1920 Warszawa przeżywa w zapale i spokoju.

Zaczyna się trudny proces zrastania dzielnic. Zewsząd płyną do Warszawy pretensje, inwektywy, żale. Kraków powołuje się na swe tradycje polityczne, Poznań na większe wyrobie gospodarce i bardziej zachodni pogląd na świat, Lwów się czuje zdegradowany, a Wilno, to z takim trudem do Polski przyłączone Wilno, narzeka na warszawską płytkość, że nie rozumieją w stolicy tylu skomplikowanych delikatnych spraw...

Warszawa jest przy tym brzydka, zapóźniona w rozwoju. Rozrasta się powoli i nieskładnie. Robi wrażenie podlotki, który ma zbyt duże ręce i nogi i nie wiadomo w ogóle, co z niego będzie.

Życie polityczne kwitnie. Rząd, Sejm, Senat, Ministerstwa. Już w czasie dni majowych r. 1926 stało się widoczne, że zajęcie Warszawy decyduje o opanowaniu Polski.

Ale pomimo postępującej centralizacji władz, pomimo swej ważnej roli jako stolicy, Warszawa nie jest w życiu Polski jakimś wyodrębnionym problemem politycznym. Nie lubiono na prowincji „warszawistów”, lecz wpływ ich na losy Polski był mniejszy niż wpływ Paryża na życie Francji, Wiednia na

losy Austrii, Lizbony na życie Portugalii czy Bukaresztu na losy Rumunii — nie mówiąc już o roli Londynu jako stolicy politycznej Imperium. Partie polityczne, ugrupowania, siły miały może w Warszawie swój ośrodek główny, ale zasięgiem swym obejmowały inne miasta i ziemie. Kraków, Lwów, Poznań, Wilno — bronili swego znaczenia, a jeszcze inne miasta — Lublin na przykład — też sięgały po odpowiednią rolę w życiu politycznym. Warszawa była przy tym stosunkowo małą stolicą jak na Państwo Polskie. Ludność jej nie stanowiła nawet pięciu procent ludności kraju, gdy w innych wypadkach stolice grupują dziesięć czy nawet więcej procent ogólnej liczby mieszkańców.

Polska Odrodzona jest krajem rolniczo-przemysłowym. Wpływa to też na styl życia Warszawy. Jej dobrobyt gospodarczy nie zależy już przede wszystkim od tego, czy ziemianin kupi żonę swej suknie u Hersego, a chłop przyjedzie po worek soli. Wytwarza się klasa konsumentów miejskich. Trzecia część ludności Polski: ludność nierolnicza, w obrotach gospodarczych przedstawia dwa razy więcej niż dwukrotnie od niej liczniejszą część rolnicza ludności.

Ostatnie lata przed wojną przyniosły wielki rozwój Warszawy. Miała się stać w ciągu kilkunastu lat piękną stolicą. Starzyński na wystawie „Warszawa przyszłości” pokazał jak wyglądają plany.

Aż 1 września roku 1939.....
Cóż można pisać jeszcze o tym, co wiemy, co czujemy, co widzimy przed sobą?

Przez pięć lat zajęci administracją swych codziennych trosk, swych mniejszych lub większych prac, czy meczącą beczynnością — myślimy o Warszawie, jak o czymś wielkim i świętym. Marzymy o tym, jak na jej gruzach budować będziemy nowe domy, jakieś szklane domy naszych idei i tęsknot. Kajaemy się z popełnionych czy niepopołnionych win. Pytamy się, czy będziemy godni iść znowu po tych ulicach, po których tyle polskiego bólu i cierpienia codzienną swą odbywa przechadzkę.

Dni sierpniowe roku 1944.....
Historię pięciu ostatnich lat Warszawy pisać można krwią lub łzami. Można o nich mówić w suchym języku depeš. Ale nikt nam nie wytłumaczy, że tak być powinno, że Warszawa ma być ciągle tą najniebezpieczniejszą stolicą. Wiemy już dzisiaj na pewno, że Warszawa — to Polska. Że jeśli cierpi — to dla Polski.

Słuchamy radosnych okrzyków: Paryż wolny! Widzimy uśmiechnięte twarze, bo koniec wojny już blisko. Myślimy o Warszawie. Warszawa walczy.....

Tyle spraw i pytań ciśnie się do głowy. Szukamy na całej skali radia, by znaleźć na nie odpowiedź. Na fali polskiej z Londynu płyną dźwięki chorału:

„Z dymem pożarów, z kurzem krwi
bratniej
Do Ciebie, Panie, bije ten głos...”

Bohdan Łączkowski

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

Niepodległość i gospodarka narodowa

Przeżycia polskie od 1 września 1939 roku postawiły przed oczami naszą sprawę stanu gospodarczego kraju, a w szczególności przemysłu, na pierwszym planie.

Brak wykształcenia kół, odpowiedzialnych za losy państwa, i zapatrzenie się we wzory, nie mające niczego wspólnego z naszą przeszłością historyczną, powodowały, że widziały one państwo jako maszynę, funkcjonującą mniej lub więcej sprawnie, z centralnym systemem rozrządzącym, przy którym stoi genialny i wobec Boga i Historii odpowiedzialny maszynista. Maszyna ma sprawnie funkcjonować. Reszta spada do rządu czynników niepotrzebnych, wtórnych i nie mających bezpośredniego wpływu na to, czy państwo istnieje i czy istnieć będzie. Ważniejszą sprawą jest sieć administracyjna, takie czy inne funkcjonowanie władz. Wrzesień uzmysłowił prawdę, że oprócz tego przemysł, struktura społeczna, to są elementy, które dla istnienia państwa posiadają identyczne znaczenie jak starostwa czy wydziały bezpieczeństwa przy województwach, a może nawet większe.

Jeden z naszych wielkich aliantów, który znajduje się co prawda w wyjątkowej sytuacji geograficznej, nie posiada zupełnie centralistycznej sieci administracyjnej, a mimo to potrafił stworzyć siłę, uderzającą na polach bitew.

Gospodarcze nastawienie kierownictwa państwa doznało wstrząsu. Nie można przejść spokojnie wobec tego, co się stało. Gdyby się dało udowodnić, że się zrobiło wszystko, to byłoby nawet lepiej. Trzeba stworzyć teorię, przy której pomocy wyjaśni się ten fakt, że mimo woli narodu, mimo bohaterstwa armii, mimo poświęcenia społeczeństwa, ulegliśmy, i nawet styl klęski urągał naszej dumie narodowej.

I oto jedna z tych teorii, która znalazła sobie taki wyraz w jednym z naszych pism: „Wielkie mocarstwo, to już dziś nie tylko wielkie terytorium... To kraj o przemysle monopolistycznym, ściśle wokół tego przemysłu scentralizowany, wszystkie interesy są tam podporządkowane interesom wielkiego przemysłu, a polityka jest wyrazem tych interesów... Polityczny wyraz industrializmu nazwano w Ameryce „rewolucją dyrektorów”.

Przemysł przestał być funkcją kapitału, nie rządzi nim właściciel, ale dyrektor, produkcja odrywa się od kapitału i staje się narzędziem manipulacji, który tworzą elitę, podporządkowującą sobie całą rzeczywistość społeczną i polityczną. Dyrygują oni produkcją, ale dyrygują równocześnie polityką państwa, które staje się narzędziem ich władzy... W ten sposób substratem polityki przestaje być naród, a staje się przemysł”.

Autor za przykład bierze Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a przecież to kraj, którego nie można scharakteryzować jako ściśle wokół tych przemysłów monopolistycznych scentralizowany. „Rewolucja dyrektorów” jest zjawiskiem, grożącym każdemu ustrojowi gospodarczemu, który w pewnym momencie, przy osiągnięciu form organizacyjnych produkcji takiej, jak spółki akcyjne, nie zaczyna ograniczać swobody kierowników produkcji na rzecz kapitału i pracy. Niebezpieczeństwo to grozi zawsze w systemie liberalizmu gospodarczego. Anonimowość kapitału i trudność ustalenia osób fizycznych jako właścicieli powodują, że interesy kapitału stają się fikcyjne. Stąd ten stan rzeczy. „Rewolucja dyrektorów” nie jest, jak tego autor chce, wynikiem dialektycznym walki pracy i kapitału. Nie jest syntezą rzeczywistej czy pozornej dialektycznej sprzeczności.

Ale by o tym wiedzieć, trzeba rozumieć pewne podstawowe zagadnienia gospodarcze. Dziecko, zwłaszcza dziecko przesądne, napotykać na niezrozumiałe zjawisko, jest skłonne tłumaczyć wszystko, co się dzieje, interwencją sił nieczystych. Ten sam element znajdujemy w rozumowaniu, którego przykład przytoczyliśmy. Oto apokaliptyczne obrazy, jakie nasuwają się autorowi, gdy pisze o sprawach gospodarczych:

„Wyżywał się tu jakiś typ dialektyczny, który budował na ostrych przeciwieństwach i miał pełne poczucie, że gna w nieskończoność, że buduje Wieżę Babel, która ma sięgnąć nieba”.

Stąd też w wywodach jego pełno wyrażen takich, jak „amok”, „automatyzm sił mechanicznych i demonizm, rozpętanych przez nie sił nihilistycznych”, stąd też rzucanie hasła, by przeciwstawienie się obecnej konstela-

cji politycznej z naszej strony przybrało formę cofnięcia okresu gospodarczego, w którym znaleźliśmy się.

Uprzemysłowione państwa, to państwa nie-normalne, w których tajemne siły, niezależne od takiego czy innego układu sił społecznych, dla celów przemysłu sprawują władzę. Państwo uprzemysłowione, to ustrój totalitarny konieczny. Ileż w tym wszystkim nieprawdy. Przede wszystkim Anglia, potem znowu Stany, a wreszcie tyle innych mniejszych państw o silnym potencjale przemysłowym.

Trudno wyjaśnić wszystkie nieporozumienia, w które autor wpadł, pisząc o rzeczach i nie znając się na nich. Robi on czasami wrażenie człowieka, wyrwanego z nad brzegów gnojówki i spod krzywego płotka, i gwałtownie przeniesionego choćby do katowickiej odlewni stali. To diabeł, naturalnie, że to diabeł, to siła nieczysta! „Rewolucja dyrektorów” w Ameryce została opanowana przez Roosevelta. W Anglii bodaj że nigdy nie miała miejsca, we Francji wyraziła się szeregiem skandalów polityczno-financejowych. W żadnym państwie koła gospodarcze nie uzyskały wyłącznej władzy, nawet w hitlerowskich Niemczech. Hitler, osadzony na tronie przy pomocy wpływów także i ciężkiego przemysłu, z biegiem czasu opanował go zupełnie. „Rewolucja dyrektorów” skończyła się tam ich klęską i poddaniu ich wpływowi politycznemu.

Wojna dzisiejsza została wywołana przez te same stare siły, które wywoływały wojnę od czasów najdawniejszych. Przemysł w tej wojnie odgrywa rolę zasadniczą tylko dlatego, że uzbraja narody, że zmieniały się potrzeby w tym zakresie, tak jak we wszystkich innych dziedzinach życia ludzkiego. W totalistycznym ustroju władza polityczna, pochodząca z woli ludu czy też od niej niezależna, posługuje się przemysłem, zmuszając go do wywołania wojny do posłuszeństwa. Nie jest rozwiązaniem zagadki, przed którą stoimy, upraszczanie zagadnienia w ten sposób, że to wielkie przemysły chciały wojny, że to one wprowadziły na trony dzisiejszych dyktatorów, aby walcząc o panowanie nad światem i o rynki zbytu. Prawda jest wręcz odwrotna. Sfery gospodarcze we wszystkich krajach, które dzi-

siają biorą udział w wojnie, tracą pod postacią dekapitalizacji, przedstawienia przemysłów na potrzeby wojenne, a — co najważniejsze — najboleśniej są uderzane przez ograniczenie dyspozycji dobrami, które pozostają ich własnością. Inna rzecz, że rządy różnych państw szukają korzyści gospodarczych w wyniku wojny.

Po co o tym wszystkim pisać? Jakiż sens tej polemiki, która na pewno nie przekona autora, ani grupy ludzi, odpowiedzialnych za umieszczanie tego rodzaju poglądów w piśmie? Poglądy takie bowiem są szkodliwe. Robią one z zagadnień gospodarczych problem tajemniczy, niezrozumiały, prawie że diabelski. Tymczasem jest to zagadnienie tak proste, tak aktualne, jak problem dania Polakom chleba i karabinu do ręki. Tam, gdzie rozwój gospodarczy szedł drogą naturalną, tam w ciągu XIX wieku wolne narody położyły podwaliny pod silne przemysły, pod swoją gospodarczą i polityczną niezawisłość, pod swoje państwa, a także i kulturalne przewodnictwo w przyszłym świecie. Okoliczności sprawiły, że rozwój naszego przemysłu niestety jest znacznie w tyle za naszymi aspiracjami i za naszą historią. Tam, gdzie inicjatywa prywatna nie może dać szybkiej, natychmiastowych rezultatów, tam musi wkroczyć państwo. Zwłaszcza wtedy, gdy sprawa jest związana bezpośrednio z jego bytem. Przemysł w dobrze zorganizowanym państwie, z pozytywnym po-dejściem do spraw gospodarczych, będzie zawsze mu służył, będzie siłą narodową, będzie takim samym wykładnikiem niepodległości państwa, jak niezależna polityka zagraniczna, jak własna siła zbrojna.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”
ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW

wydanie drugie
Cena 200 milsów.

WIKTOR WEINTRAUB

PARYŻ REDIVIVUS

Każdemu, komu droga jest przyszłość kultury europejskiej i sprawa zwycięstwa Narodów Sprzymierzonych, żywiej musiało zabić serce na wiadomość o oswobodzeniu Paryża. Wiele jest na świecie stolic. Ale Paryż jest nie tylko stolicą wielkiego państwa. To także stolica europejskiej kultury. Te ideały życia, o których zwycięstwo Narody Sprzymierzone dziś walczą, tutaj w znacznej mierze się narodziły, tu znalazły wyraz szczególnie mocny, bogaty i wszechstronny.

Paryż jest wielkim laboratorium myśli i wspinał się ośrodkiem sztuki. Ale dla każdego, kto miał szczęście w mieście tym spędzić jakąś część swego życia, było ono drogą nie tylko dlatego. Miał ono swój szczególny czar, który, jak każdy czar, wymyka się określeniom. Żyło się w tym mieście równocześnie leż i intensywniej. Składało się na ten swoisty urok Paryża wiele czynników: i liczne pomniki bogatej tradycji historycznej, i szybki, energiczny rytm współczesnego życia, i nade wszystko atmosfera wolności, która, okupiona krwią, w krew też weszła tym ludziom.

Zaskakiwało to miasto swoimi kontrastami. Wystarczało skrócić kilka kroków w bok z rozległych, oguszających wrzaskiem i oslepiających neonami wielkich bulwarów, aby się znaleźć na pustej, źle oświetlonej, krętej uliczce, jakby żywcem wyjętej ze starego szychu. W ogrodzie Tuileryjskim zasuszeni staruszkowie drzemali na ławkach w oczekiwaniu na przyjście nierychliwej śmierci, a o kilkaset kroków od ogrodu, w „brzuchu Paryża“, w Halach, dniem i nocą (przede wszystkim nocą) tętniła wyteżona praca; aż mdło było tam od zapachu mięsa, stósów ryb i potu ludzkiego.

Tradycja mieszała się tu z życiem codziennym, potoczność z najwznioślejszymi porывami myśli ludzkiej. Tuż pod bokiem Sorbony była niewielka restauracja Pod Zieloną Papugą — Au Perroquet Vert. Właścicielem restauracji był Chińczyk, kelner był bodaj że Portugalczykiem, w każdym bądź razie trudno się z nim było porozumieć w jakimkolwiek ludzkim języku. Gość, który spożywał tu swój escape, nie domyślał się, — dopóki nie wmurowano w fasadę domu tablicy pamiątkowej, — że przed tamtą wojną była tu świątynia myśli wyjątkowo czystej moralnie i szczególnie pięknej. Tutaj Charles Péguy redagował swoje „Cahiers de la Quinzaine“.

Dlatego Paryż miał szczególną siłę przyciągania cudzoziemców. Żadne inne miasto w świecie nie mogło się z nim pod tym względem mierzyć. Przed samą wojną tych mniej lub bardziej stałych niefrancuskich mieszkańców Paryża liczone na około pół miliona. Było wśród nich — oczywiście — dużo różnych obieżyświatów, niebieskich ptaków, wykończonych. Ale byli też i ludzie, którzy stanowili chlubę kultury europejskiej. W jednej z bocznych ulic bulwaru Saint Germain znajdowała się niewielka angielska księgarnia. Zamiast szyldu witała tam przechodnia wywieszka, przedstawiająca gentlemana z bródką w szpic i w hiszpańskiej kryzje. Pod tym zaś był napis „Szekspir i Spółka“. W księgarni, której cały kąt zawieszony był fotografiami francuskich i anglosaskich znakomitości z dedykacjami dla właścicielki, można się było spotkać z chudym, starszym panem w ciemnych okularach: Joyce. W eleganckiej galerii Bernheima przypadkowy gość mógł się napatoczyć na niskiego, krepkiego jegomościa o bujnej, „artystycznej“ czuprynie, obciętej tuż nad karkiem, który zjawiał się tam w towarzystwie dużego terriera. Portier witał przybyłego z wielką rewerencją, tytułował go „maitre“ — „mistrzu“. To wielki Hiszpan — Picasso. Tuż pod Paryżem mieszkają znakomita artystka, apostołka gry na klawesynie i sprawczyni renesansu tego, zapomnianego przed nią instrumentu, której wielojęzyczna rzesza uczennic i uczniów nie nazywała inaczej, jak „mamouscha“. Owa „mamusia“ to Polka — Wanda Landowska. Pod samym Ogrodem Luxemburskim przy stoliku bistro Hôtel de la Poste zapijał w nędzy i opuszczeniu ostatnie swoje dni wybitny austriacki powieściopisarz, Joseph Roth. Emigrantów politycznych było tu zawsze bardzo wielu. Zdała od ludzi, w samotności żył tu głęboki myśliciel rosyjski, Lew Szestow. Spód Tuluzy, gdzie współpracował w radykalnej „Dépêche de Toulouse“, zjeżdżał tu ukradkiem — ramię Gestapo jest długie — były prezydent Senatu Gdańskiego, Hermann Rauschnig.

Te tradycje Paryża jako wielkiego międzynarodowego ośrodka myśli i sztuki datują się nie od dziś i nie od wczoraj. Przypomnijmy tylko kilka najcharakterystyczniejszych przykładów. W Paryżu spędza większą część swego życia Heine. Z Niemcami jest on związany wspomnieniami dzieciństwa i młodości oraz językiem ojczystym, w którym umiał jak mało kto drugi w świecie kpić i marzyć. Paryż wiąże się w jego świadomości ze wspomnieniami betów, do których na długie lata przykuła go ciężka choroba. I mimo to wszystko o Paryżu pisze on ciepło, z sentymentem, o Niemczech z ostrą, sztyderczą ironią. Do Paryża dobrowolnie ekspatriuje się wielki powieściopisarz rosyjski, Turgeniew. Znakomity powieściopisarz angielski, George Moore, wsiąka w latach swojej młodości w życie francuskie tak głęboko, że za

powrotem do Anglii musi się uczyć swego języka ojczystego. W Paryżu dożywa swoich lat Wilde.

Dwa pierwsze z przytoczonych tutaj nazwisk są jednak szczególnie wymowne. Zarówno bowiem Heine, jak i Turgeniew, emigrując do Paryża, świadomie odcięli się od czegoś, co było istotnym składnikiem w dziedzictwie kulturalnym i atmosferze politycznej ich ojczyzn, i to odcięli się w imię europejskiej wspólnoty kulturalnej, dla której najlepszą głębią i najprzychylniejszą atmosferą widzieli w Paryżu. Tlenem zaś tej atmosfery była wolność.

Mimo to tradycja przewodnictwa kulturalnego Paryża jest dużo starsza od owego pamiętnego lipcowego dnia, w którym wybuchł w Paryżu pożar wolności. Przeciwnie, przewodnictwo kulturalne Paryża w świecie rozpoczęło się w okresie największego rozkwitu francuskiego absolutyzmu. To za Króla Słońce Ville Lumière zajaśniała w świecie całym blaskiem, którego już przez trzy wieki nie udało się przetrzymać.

A przecież bardzo płytko by sądził ten, kto by cały ten prestiż, jakim Paryż zaczął się w XVII wieku cieszyć w kulturalnym świecie, sprowadzić wyłącznie do politycznych sukcesów Ludwika XIV i jego pracy organizacyjnej w dziedzinie kultury francuskiej. Najlepszym dowodem niesłusznosci takiego stanowiska jest fakt, że autorytet i urok Paryża w świecie na długo przeżył jakże nietrwałe sukcesy polityczne króla.

Na autorytet ten zapracowały długie wieki uprawy kulturalnej i wyteżonej pracy myśli szeregu pokoleń francuskich. Na tyjach placu Jussieu znajduje się w Paryżu szczególnie dostrójny swą starością zabytek: Arènes de Lutèce — areny rzymskiej Lutecji. Wciśnięte między mury ogniowe czynszowych kamienic resztki tej rzymskiej areny wyglądają smutno i ubogo. Daleko im do monumentalności wspaniałej areny w Nîmes czy do poezji rysujących się na tle swobodnej przestrzeni smukłych kolumnienek, jakie zachowały się z rzymskiego teatru w Arles. Ale mimo to wymowa tych kilkunastu „kamiennych stopni, zduszonych w skupisku banalnych kamienic, jest bardzo wyraźna. Przypomina mianowicie, że historia Paryża korzeniami swymi sięga jeszcze starożytności i że Paryż wyrósł z rzymskiej kolonii.

Z kamieni tego miasta wyczytać można jego przebogactwo, burzliwą historię. Paryż ma swoje katakumby, — związały się one z historią ostatniego powstania paryskiego. Ma ciężkie, średniowieczne mury Conciergerie i całe rozciągające się w świetle wnętrza gotyckiej Sainte Chapelle. Ma piękne w swych szlachetnych proporcjach renesansowe partie Luwru, Pont Henri IV, śliczny Place des Vosges, salę Marii Medici w pałacu Luxemburskim z ciężkimi od przejrzałego bogactwa płótnami Rubensa. Można by tak wyliczenia te bez trudu przedłużać dla przykładu, że i przed Złotym Wiekiem kultury francuskiej Paryż rósł, rozwijał się i tętnił mocnym życiem kulturalnym. W VIII wieku naucza tu Alcuin, w XII — tłumy ściągają na wykłady Abelarda. Sorbona paryska jest jednym z najstarszych uniwersytetów świata. Szybko staje się ona światowej doniosłości ośrodkiem myśli filozoficznej. W Sorbonie doktryzuje się Tomasz z Akwinu, w Sorbonie wykładają Duns Scot i Occam. W piętnastym wieku żyje w Paryżu tak tęgą malarz jak Jacques Fouquet, w XVI — tak znakomity portrecista jak François Clouet.

Te kilka co najcharakterystyczniejszych zabytków architektonicznych i nazwisk przypomina pèle-mêle dlatego, aby uprzytomnić czytelnikowi, że uniwersalistyczna kultura francuska XVII wieku narodziła się na gruncie, długo i intensywnie uprawianym. Na takim gruncie dopiero możliwy był cud myśli, która była równocześnie głęboka i przejrzysta, śmiała i uśmiechnięta, sztuki, która odkrywcze prawdy umiała wypowiadać z naturalnością i prostotą komunau i której zmysł proporcji i równowagi wszedł tak głęboko w krew, że stała się ona nauczycielką nowego stylu życia.

Kultura ta przez to, że była jasna i rozsądna, była dostępna dla każdego; przez to, że miała tyle wdzięku, każdego kusiła swym urokiem. Dlatego mogła podbić cały świat. I dlatego imperium kultury francuskiej nie tylko że przeżyło kłeski wojenne Ludwika XIV, ale jeszcze w XVIII wieku umocniło i pogłębiło swoją władzę. W wieku tym w całym cywilizowanym świecie ludzie meblowali sobie mieszkania i głowy na sposób paryski, krawiec paryski decydował o ich strojach, a paryski księgarz o ich gustach literackich. Pod urokiem Paryża i jego myśli byli zarówno panujący — przykłady Semiramidy Północy i filozofa z Sans-Souci cisną się tu same pod pióro — jak i ci ludzie, którzy w panującym porządku godzili.

Zarzucono Paryżowi — już wtedy — że jest pusty, zdegenerowany, zgnity. Zapewne, Paryż Regencji nie przedstawiał budującego widoku. Ale przecież ten sam Paryż wybuchnął lawą Wielkiej Rewolucji. Wyrzuciła ona na wierzch nowy Paryż, Paryż Faubourg St. Antoine. Pamięć tej rewolucji mimo wszystkich jej okrucieństw musi być światu drogą

przez lekcję zdobytej i obronionej wolności. Lekcję tę wypadało Paryżanom wielokrotnie potem powtarzać, — wolność jest przywilejem ludzi czujnych i odważnych, — po raz ostatni przed kilku zaledwie dniami, ale jej posiew wszedł w Paryżu szczególnie bujnie.

W wieku XIX z Paryża szła na świat krzepka nauka Balzakowskiego realizmu i Paryż upijał głowy marzycieli społecznych teorii utopijnego socjalizmu. Z Paryża uczył Comte świat o nadchodzącej nowej, pozytywnej epoce ludzkości, z paryskiego laboratorium Pasteura wyszła pierwsza szczepionka, paryski impresjonizm rozjaśnia palety malarzy na całym świecie, z Paryża rzuciła manifest naturalizmu, w paryskiej szopie udało się wyodrębnić pierwszą szczyptę radu, w paryskiej szkole Durkheima wykształciła współczesna socjologia swoje nowoczesne metody badawcze. A potem staje się Paryż również stolicą tych prądów, które zbuntowały się przeciwko XIX wiekowi: z Paryża wychodzi zarówno filozofia witalizmu Bergsona, jak i Sorela teoria gwałtu w polityce, która zapłodziła zarówno Lenina, jak i Mussoliniego.

Bodaj że nigdzie przodująca rola Paryża nie zaznaczyła się tak wyraźnie, jak w malarstwie. Historia malarstwa europejskiego w XIX i XX wieku to w trzech czwartych historia malarstwa w Paryżu. W Paryżu rodzą się wszystkie nowe prądy malarskie i Paryż ściąga do siebie bogatą plejadę wielkich talentów wszelkich narodowości. Szkoła paryska to i Anglik Sisley, i Włoch Pissarro i Modigliani, rosyjski Żyd Marc Chagall i rumuński Żyd Pascin, wielki Holender van Gogh, Hiszpan Picasso i Polak Pankiewicz. W mniejszej mierze, ale wyraźnie zaznaczył się ten atrakcyjny wpływ Paryża w literaturze francuskiej udziałem w niej cudzoziemców, żeby przypomnieć tylko Rumunów, piszących po francusku (pani de Noailles, Istrati, księżna Bibesco), wybitnego poetę francuskiego, Greka Moréas'a, czy innego poetę, niemniej wybitnego, pochodzenia polskiego, Apollinaire'a - Kostrowickiego.

Dwa były rysy charakterystyczne atmosfery kulturalnej tych wszystkich prądów, jakie narodziły się w Paryżu: śmiałość w poszukiwaniu nowości i równocześnie głębokie życie się z tradycją. Nie ma ono nic ze szkolarstwa, z „obowiązków“, jest po prostu zaspokojeniem żywo odczuwanej potrzeby, świadomością, że przeszłość umie odpowiedzieć na szereg palących problemów współczesności. Ponura teoria Marinettiego zerwania związku z przeszłością i niszczenia jej śladów, teoria, której postulat realizuje dzisiaj z tak tragiczną konsekwencją obecna kampania włoska, nie zapuszcza nigdy w Paryżu głębiej korzeni. O stosunku Francuzów do własnej tradycji najlepiej może poinformować następująca anegdota. Wiosną r. 1936 tuż po zwycięstwie w wyborach Frontu Ludowego, kiedy zdawało się, że komuniści francuscy wejdą do tworzącego się gabinetu Bluma, jeden ze współpracowników wielkiego dziennika postanowił zrobić wywiad z przywódcą komunistów francuskich, Thorezem. Zastał go akurat nad książką. Niedyskretnego dziennikarza korniło, jaką też lekturą może się bawić komunistyczny trybun. Uchylił okładki. Okazało się, że był to tom kazań biskupa z Meaux, Bossueta. „To bardzo pożyteczna lektura dla każdego mówcy“ — tłumaczył się zażenowany Thorez.

Do ostatnich miesięcy przed wojną życie kulturalne biło w Paryżu mocnym tętnem i do ostatnich miesięcy przed wojną Paryż promieniował na świat cały swoją kulturą: tanią książką francuską, której produkcją skupiona była niemal że wyłącznie w Paryżu, a która w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozchodziła się po świecie, świetnym teatrem (w którym nb. poważną rolę odgrywali również cudzoziemcy: jeden z lepszych teatrów paryskich prowadzony był przez emigrantów rosyjskich, Pitojewów, znakomita artystka Comédie Française, wspaniała odtwórczyni roli Hermiony, Vera Korène, była Rumunką), swoimi przebogatymi muzeami, sławnymi zakładami naukowymi i wieżą Babel Cité Universitaire, które szeroko rozbudowało się na południowym przemieszczu miasta.

Wychodzący w Londynie francuski miesięcznik „La France Libre“ ogłasza ostatnio w szeregu numerów odpowiedzi wybitnych Anglików na ankietę „What France means to you“. Odpowiedzi w numerze czerwcowym otwierają T. S. Eliot i Harold J. Laski. Eliot, najwybitniejszy współczesny poeta angielski, jest konserwatystą i katolikiem, prof. Laski jest bardzo lewym pisarzem politycznym. I oto okazuje się, że obu łączy uczucie głębokiego szacunku i wdzięczności dla kultury francuskiej. Eliot kończy swoją odpowiedź następującymi słowami, w których mocny wyraz znalazło poczucie europejskiej wspólnoty kulturalnej: „Ponieważ troszczę się o przyszłość Anglii, muszę troszczyć się również o przyszłość Francji; ponieważ muszę wierzyć w przyszłość Anglii, tylko z nadzieją mogę patrzeć w przyszłość Francji“.

Osobno wypada omówić znaczenie Paryża w życiu polskim. Nie łatwe to zadanie. Żadne pozapolskie miasto w świecie nie odegrało tak olbrzymiej roli w życiu polskim, jak właśnie

Paryż. Jakżeż ją ująć w kilkudziesięciu wierszach?

Na fasadzie jednego z domów wąskiej i gwarnej rue de Seine, niemal że naprzeciw targu warzywnego, jaki się rozsiadł pośrodku tej ulicy, znaleźć można niewielką tablicę pamiątkową, obwieszającą, że w domu tym najdostojniejszym polskim piórem napisany został w r. 1834 „Pan Tadeusz“. Jednej takiej tablicy wystarczyłoby, aby uczynić Paryż drogim każdemu polskiemu sereu. A przecież tablica ta to jeden z tysięcy śladów polskich związków kulturalnych z Paryżem. Inną tablicą, w Collège de France, upamiętniono przyjaźń trzech wielkich profesorów tej uczelni: Mickiewicza, Micheleta i Quineta. Istnieje (a przynajmniej istniało do wojny) w Paryżu Muzeum Mickiewiczowskie, a za naszych czasów wzniesiono na placu d'Alma pomnik pocie, który w mieście tym spędził cały swój „wiek męski, wiek kłeski“. A ileż to polskich grobów jest w Paryżu: na cmentarzu Montmartre można znaleźć miejsce, gdzie leżał Słowacki, na cmentarzu Père Lachaise leży Chopin, w kościele Saint German des Prés znajduje się nagrobek króla Jana Kazimierza, tuż pod samym Paryżem, w Sceaux, pod wzruszającą skromną płytą nagrobkową spoczywa Curie-Skłodowska. Łuk Tryumfalny głosi chwałę także i polskiego oręza. Jeden z pałaców na cichej, jakby z innego świata do Paryża przeniesionej Ile Saint Louis to Hôtel Lambert — Stratton tamtej Emigracji.

Najwięcej pamiątek polskiego Paryża zachowało się z XIX w. Ale są i takie, które sięgają dużo głębiej w czas. Na Quai Malaquais stoi wielki, ponury, narożny dom. Kiedyś zwał się on Hôtel Morstein. Tu spędził ostatnie dwadzieścia lat swego życia podskarbi wielki koronny i tęgą poetą, Jan Andrzej Morsztyn. A kogo nie odstrasza pył archiwów, może za prof. Kutrzebą śledzić nazwiska tych polskich scholarów, którzy szukali światła wiedzy w średniowiecznej Sorbonie.

Już w XVII w. magnaci polscy zaczynają się czuć w Paryżu jak u siebie w domu. W epoce stanisławowskiej wyjazdy do Paryża nabierają charakteru masowego. Piorunował na owe wyjazdy Krasiński, — który zresztą owe gromy potępienia umiał godzić z gustem do częstych podróży do Poczdamu, — twierdząc, że demoralizują one młodzież. Zapominał, że młodzieńcom, którzy w Paryżu spędzali czas na picu szampa, grze w faraona i uganianiu się za taką czy inną George'tte'a, w kraju dzień wypełniłyby anyżówka, tryszak i amory z rodzimymi Kachnami. Ludzie formatu Staszycza, Kołłątaja czy Stanisława Potockiego co innego wywozili z Paryża. Zresztą i sam Książę Biskup Warmiński był przecież w literaturze stanisławowskiej najznakomitszym ambasadorem paryskiego esprit i Paryżowi zawdzięcza to, co w poezji jego jest wdziękiem, rozsądkiem, przejrzystością.

Poczawszy od okresu stanisławowskiego Paryż staje się po prostu jednym z kilku wielkich centrów kultury polskiej. Po roku 1831 na pewien czas nawet centrum najważniejszym. I tego bliskiego związku z Paryżem kultura polska już nigdy nie zerwała. W dwudziestolecu niepodległości nasze stosunki z Francją układały się najpierw pod znakiem frazesów o „siostrzycy“, potem — wzajemnych rekryminacji. Ale związki Polaków z Paryżem szły nadal swoim torem, jako coś samo przez się zrozumiałego, jako normalna funkcja kultury polskiej. Działała w Paryżu stacja Polskiej Akademii Umiejętności, nie było dnia, żeby pod kopułą wielkiego lektorium Bibliothèque Nationale nie pracowało kilku Polaków, żeby w kawiarniach Montparnassu nie przyszło natknąć się na tego czy innego z Polskich literatów czy malarzy.

*

Paryż został wyzwolony rękoma samych Francuzów. Ścieżki pięknego Ogrodu Luxemburskiego, które w świadomości naszej skojarzyły się z pogodnym sceptycyzmem France'owskich erudyków, zalały się krwią. A potem zahaczała nad miastem Marsylianka. W tłustych latach Trzeciej Republiki słowa jej były najczęściej pustym znakiem oficjalnego rytuału. Ale teraz nabrały one rumieńców krwi, tej samej krwi, która mocnym tętnem biła w nich w groźne dni 1792 roku. Zapowiadają one, że po czterech latach hitlerowskiej nocy Paryż wraca do tradycji swego posłannictwa kulturalnego, które jest światu bardziej dzisiaj potrzebne niż kiedykolwiek.

Istnieje legenda, że kiedy pierwszą wojska amerykańskie przyjechały do Paryża w r. 1917, ich dowódca, gen. Pershing, natychmiast po przyjeździe udał się na cmentarz Picpus i tam, wypreżywszy się na baczność, zameldował wielkiemu bojownikowi o wolność Ameryki: „Lafayette, we are here“. Mniejsza o to, że jest to podobno tylko legenda. Ważniejsze, że znalazło w niej wyraz przekonanie, iż wojska amerykańskie, walcząc o odparcie inwazji niemieckiej, spłacają tylko część długu, zaciągniętego przez Stany Zjednoczone wobec Francji, tej Francji, której dłużnikami wszyscy jesteśmy i w której przyszłość zwątpić nam nie wolno, bo musielibyśmy wtedy zwątpić w losy kultury europejskiej, to znaczy nas samych.

ZDZISŁAW BRONCEL

SENS ŚMIERCI

„Tym, co umarli, tym, co umierają i na śmierć idą, powiesz i musisz powiedzieć, że śmierć ich zmarnowana nie będzie... Musisz im wdroyć, nie słowami, ale wymową czynów, tę pewność niewzruszoną, że z ich wysiłku i męki nie Polska dawna się odradza, żywot swój przedłuża, na świat powraca, ale że oto powstaje i rodzi się Polska nowa, w której będzie miejsce dla każdego i praca dla każdego, i dla każdego za jego pracę, szacunek...”

Możesz, możesz im powiedzieć wtedy śmiało, że ową Polskę, nawet po jej wskrzeszeniu, czekają dziesięciolecia najcięższych wysiłków, że od ust sobie będziemy odejmować, by jej dać siłę, zaciskać pasa jak chłop na przednówku, że ci co wyżyją, nie wyżyją na żadne życie łatwe...

Co krok musicie wszystko przemieniać, cały stosunek człowieka do człowieka, woda do żołnierza, żołnierza do wodza. Codzień musi być inaczej. Codzień musi być bliżej. Albowiem to wam powiadam, największe ofiary można ponieść, największe znieść można męki, jeśli istnieje cel porywający, wielki, realny, powszechny, jeśli w jego spełnieniu będziemy żyli nawet wtedy, gdy sami pójdziemy zań w grób...”

„Za wami, którzy jesteście przy życiu, pozostała ich śmierć. Ona stanowić będzie siłę moralną, wciąż rosnącą siłę waszą w walce właśnie o taką nową, naprawdę nową Polskę, do której droga wiodła przez ten wasz Narvik...”

To przejmujące kazanie — jedna z najczystszych kart emigracyjnej prozy — jakie wygłasza kapelan Brygady Podhalańskiej nad grobami poległych w przeddzień opuszczenia Narviku, mogłoby dzisiaj być powtórzona nad każdym nowym grobem żołnierskim. Cmentarz bowiem jest nie tylko w Narviku. Nie tylko w Narviku ginęło młode pokolenie polskie, noszące w sobie wizję odbudowanej ojczyzny. Groby, jakże często przyjmujące w siebie najlepszych, najuczciwszych i najdzielniejszych, pokrywają pola Francji: betonowymi płytami zalegają tobruckie piaski, tworzą polską obrotę wokół angielskich miast; stają miłowym słupem polskiej drogi na równinach i górach Włoch. Wszystkie leżą daleko od ojczyzniego kraju, wszystkie związane są z walką, której celem i skutkiem bezpośrednim była obrona cudzej wolności; wszystkie wynikały z wiary, że krew, przelewana za wolność francuską, norweską, angielską i włoską, znajdzie swą odpłatę we wspólnym wznoszeniu wolności polskiej. Krzyże nad owymi grobami stawiano zawsze w równie trudnych chwilach: walki w Narviku rozstrzygały się na tle kapitulacji króla Leopolda i przegranej pod Sedanem, w dniach bitwy o Anglię już tylko dwie narodowości: polska i angielska broniły wyspy, Tobruk trwał samotnie wśród libijskiego odwrotu, aż wreszcie Monte Cassino przypało w chwili, gdy decyduje się los i kształt przyszłej Polski.

Udział w wojnie, sens bitew ze zniechędzeniem wrogiem, atut polityczny sukcesów wojskowych — to rzeczy proste i nie trzeba ich powtarzać. Ale już rozmiar strat i ich dotkliwość, nawet gdy są niewielkie, jest pytaniem, wobec którego trzeba sobie zdać sprawę z naszej gospodarki materiałem ludzkim, którego jest tak niewiele i który dla nas musi być cenniejszy, niż dla kogokolwiek ze Sprzymierzonych. Polska armia emigracyjna wskutek warunków swego powstania stała się od razu armią elitarną. Szedł do niej ten, kto wierność służbie i długoletnią tułaczkę przekładał nad powrót do domu; ten, któremu starczyło odwagi i przedsiębiorczości na przekradanie się do Francji, ten, kto w ostatnich dniach szukał ocalenia przed Niemcami i drogi do Paryża przez północny wschód i na koniec trafił do szeregów okólnym ślakiem przez Azję. Zarówno w Brygadzie Podhalańskiej, jak i w Brygadzie Karpackiej znajdował się wśród szeregowych i podoficerów procent inteligencji, niebawem na nasze stosunki. W dążeniu do osiągnięcia pełnych stanów oddziału, w przeświadczeniu, że istnieje tylko jeden obowiązek — obowiązek walki, wysyłano do bitwy zarówno robotnika jak i docenta uniwersytetu, chłopca i pisarza, najmitę i dyplomatę. Toteż strata strzelca stawała się stratą uczonego, śmierć celowniczego zabierała nam wybitnego specjalistę, a w brawurowych patrolach przetrzebiały się zastępy ludzi z wyższym wykształceniem. Arytmetyka polskich strat jest odmienna od zwykłych obliczeń wojskowych, występuje ona na tle wyniszczenia kraju i zadań przyszłej odbudowy. Nie ma strat lekkich, wszystkie są ciężkie wobec szczupłości armii, działającej poza krajem, a szczególnie bolesne wtedy, gdy zabierają nam ludzi z niezbędnego zespołu, jaki będzie musiał podjąć pracę po wojnie. Komunikaty wojskowe powinny nieomal brzmieć w ten sposób: posunęliśmy się na przód, ale poległ Bocheński...

Nikt nie zaprzeczy konieczności tych ofiar, nie odmówi walki dla ocalenia życia Bocheńskiego lub istnienia sześciu profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, wywiezionych przez Niemców po wybuchu powstania w stolicy. Naczelny cel polityczny: walki o wolność, góruje u nas nieustannie nad celami społecznymi i łamie je w tragiczny sposób. Ale śmierć żołnierzy pozostaje za nami i two-

rzy rachunek odpowiedzialności. Jaką ofiarą, jakim wysiłkiem, jakim nowym, czystym kształtem Polski wypłacić się za groby pod Cassino? Co uczynić, aby usprawiedliwić całopalmą ofiarnością najlepszych? Jakim plonem odpowiedzieć bezcennej mierze posiewu krwi?

Podobne pytanie powraca po każdym świeżym okresie walki. Po pierwszej kampanii poza Polską — po wyprawie narwickiej wystąpiło szczególnie silnie. Wówczas nie myśłano o odkadaniu ludzkich rezerw na czasy pokoju. Poczucie wrześnieowego zawodu, załamanie się państwa, pchało niemal każdego do wojska, by przyczynić się do zmiany owej, niemal hanbiącej opinii, jaką wytworzyła we Francji niechęć do wojny i krzywdząca ocena Września. Żołnierz, wycofywany niespodzianie z Norwegii, miał w oczach groby swych kolegów na cmentarzu w Haakviku, uświadamiał sobie, jak wielu ich zostało i pytał: poco? Oto kampania norweska stała się tylko epizodem, wszystko zaciemnia nieszczęście francuskie i z takim trudem zdobywany Narvik będzie musiał powrócić do rąk niemieckich. Nie powrócą natomiast już nigdy ci, którzy go zdobywali. Czym wyrównamy te straty? Gdzie znajdziemy nowego rekruta na miejsce owych ostatnich żołnierzy Rzeczypospolitej? Kim zastąpimy tamtych ludzi, gdy niezliczone zastępy Anglosasów odzyskają Narvik i rozwiną sztafardę zwycięstwa?

Nie przeczuwano wówczas powstania nowej armii w Rosji, więc tym dotkliwsza musiała być natarczywość tych pytań, tak nieustannie aktualnych. Stały się one genezą głośnej książki Ksawerego Pruszyńskiego, jedynej współczesnej powieści polskiej, jaka ukazała się na emigracji, p. t. „Droga wiodła przez Narvik...”. Autor, podejmując problem bolesny i trudny, do tego stopnia zdawał sobie sprawę z niepopularności każdego głosu, któryby się wówczas sprzeciwiał angażowaniu wszystkich sił tylko w walce, że wątpliwość, jakie musiał przeżywać sam, jakie się w tych ludziach powtarzały, wyraził ustami Niemca. Ranny lotnik niemiecki, von Gallen, w rozmowie z żołnierzem Brygady o niemieckim nazwisku, harcerzem Kettlerem, prowadzi dysputę, która mogłaby niemal dosłownie powtórzyć się dziś, po czterech zgorą latach, w dzień śmierci Bocheńskiego, towarzysza autora książki, uczestnika kampanii norweskiej, francuskiej, tobruckiej i włoskiej.

„Polskość marnuje samą siebie” — mówi von Gallen. — „Czyż wy samych siebie nie niszczyacie? — pyta Kettlera, — posyłając waszych nielicznych specjalistów do obsługi prostego karabina maszynowego? Kto będzie odbudowywał waszą ojczyznę i czynił z niej nowoczesne państwo? Wasz chłop? niewykwalifikowany robotnik? półinteligent? banda niedouków? — gdy zniszczycie tę szczupłą elitę naukowców, myślicieli, artystów, jaką posiadacie dziś, jak ostatni, niezastawiony klejnot rodziny?”

Gallen, starając się spolonizowanemu Kettlerowi wytłumaczyć szaleństwo jego polskości, przedstawia polską gospodarkę ludzmi, jak mimowiednie, samobójczy ciąg dalszy niemieckiego wyniszczenia. Demokracja prowadziła nieuchronnie do wojny totalnej — wraz ze wzrostem społecznego zasięgu pojęcia narodu musiała wzrosnąć bezwzględność i rozległość wojny. „Naród pod bronią” wymaga tępienia już nie tylko żołnierza, ale i całego narodu, a że proces zniszczenia fizycznego milionowej masy ludzi trwa, nawet przy współczesnej technice, zbyt długo, należy za-

Ksawery Pruszyński. Droga wiodła przez Narvik. Londyn. b. r. Kolin. Str. 252.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

CZEMIEŻE JA JESTEM

Czemże ja jestem? Drżeniem słów,
Którymi modłę się, rozpaczam,
Zgaduję los i przeinaczam
Imiona żywe w nazwy snów.

Błądę z widmami. Szepty snute
Z warg, jeśli która jękiem drgnie,
Schodzą się we mnie, zbieram je,
Westchnieniem świata, w jedną nutę.

I to jest wszystko. Nagle czas,
Niczany czas w gradowej chmurze,
Porywa mnie i rzuca w burzę,
Bym odgadł, co zabija nas.
Westchnieniom, nutom i balladom

Zamiera w takiej nocy głos.
Milczę. W sekundzie widzę los,
Mój własny los, sam siebie świadom.

I to jest wszystko. Potem znów
Powraca mrok, bo z widm pochodzę.
W milczeniu się po trudnej drodze
Przebijam do mych drżących słów.

Więc czemuż jestem? Czyim głosem?
I co owłada, wstrząsa mną,
Bym w burzach, które światem dmą,
Oślepy krążył nad chaosem?

cząc od pewnych środków zapobiegawczych, należy podciąć życie narodowe u jego korzeni: zniweczyć kulturę i rozerwać związek z ziemią. Skoro chłop z poddanego stał się obywatel, zwycięstwo nad przeciwnikiem musi wydrzeć ziemię z chłopskiej ręki. Skoro sobiepańskie szlachectwo zmienia się w inteligencję, stającą na czele robotniczych stronnictw, trzeba niszczyć przywódców, aby ludową masę zamienić w bezgłowy tłum. Niemieckie niszczenie inteligencji polskiej jest tak prostą konsekwencją wojny totalnej, jak wojna totalna jest konsekwencją demokracji. Jak lotnictwo bombarduje ośrodki dowodzenia, tak technika eksterminacji zastępuje bezadną mściwość rzezi przez planowy system niszczenia. Śmierć zostaje zrationalizowana, psychologia służy spychaniu człowieka w dół kultury: najeźdźcy przyświeca nadzieja, że po zniszczeniu warstwy produkcyjnej, oderwaniu chłopca od ziemi i zrzuconiu go w nędzę, będzie można poddać naród reedukacji na niewolników.

Racjonalizacji niszczenia polskość powinna przeciwstawić racjonalizację ochrony sił narodowych. „Czy nie zdajecie sobie sprawy, że pchanie resztek waszych ludzi wykształconych, fachowych do wojska, do piechoty, to dopełnienie pracy niemieckiej? — uderza von Gallen.

„Wyście upadli nienaukową organizacją pracy, gospodarowaniem wedle demagogii czczych frazesów; rewolucja hitlerowska, nawet rewolucja sowiecka, postawiły w sztabach państwa uczonych ekonomistów, statystyków, demografów, zamiast po waszemu wrzasać na nich ramionami. Ale teraz nie będziecie mieli nawet tej słabutkiej, nienowoczesnej, krótkowzrocznej ekologii naukowców, jakacieście mieli...”

W tydzień von Gallena pełno jest przesady, ale przecież nie można mu odpowiedzieć wytartym, beznamiętnym frazesem, że po Wrześniu „przywzwoity dyplomata” szedł do wojska. Znaczyłoby to, że właśnie „nieprzyzwyczajeni” pozostają na swych wpływowościach, że na placówkach cywilnych, w służbie rządowej dokonywa się selekcja ludzi in minus. Ów rzekomy gest przyzwoitości oznaczałby w istocie chęć odsunięcia odpowiedzialności, zastąpienia efektywnym gestem najtrudniejszego gatunku odwagi: odwagi cywilnej. Łatwiej bowiem być strzelcem, niż ministrem czy ambasadorem rozbijanego państwa.

Ale nie oto tu przede wszystkim idzie. Wiadomo, że nad każdym polskim planem, nad każdą próbą gospodarki społecznej, ciąży nadzwyczajność głównych celów politycznych. Ideał wolności jest molochem, ideał honoru jest nieustannym ołtarzem ofiarnym. I niepodobna temu zaradzić. Zarówno jednak Niemiec — von Gallen, jak i Polak — Kettler, uważają, że podobne postawienie sprawy nie rozstrzyga zagadnienia. Niemiec zaprzecza politycznym racjom polskiej walki, Polak z Brygady Podhalańskiej uważa, iż sama racja polityczna nie usprawiedliwia jeszcze pchania inteligencji elity w szeregi prostych żołnierzy. Musi jeszcze być po temu doniosła racja społeczna.

Zestawienie znaczenia bitwy o Narvik z dotkliwością polskich strat musiało podsuwać Kettlerowi wątpliwości i stawać się argumentem dla von Gallena. Norwegia była drugorzędym teatrem wojny wobec niemieckiego ataku na Francję, w samej zaś Norwegii walka o Narvik leżała na dalszym planie w porównaniu z główną kampanią, rozgrywającą się wokół portów południowych. Wysłanie na północ, ku obcym Norwegom, Brygady Podhalańskiej,

głównie dzięki jej górskiej nazwie, nie odpowiadającej wówczas żołnierskiej rzeczywistości, miało w sobie pewien tragiczny akcent. Polskie groby w Haakviku, narażanie nielicznych ocalałych uczonych w norweskiej bitwie, jeszcze go pogłębiało. Podobnie i dziś, mimo całej doniosłości politycznej polskiego udziału w walkach we Włoszech, nie jest to przecież bezpośrednia bitwa o miasta polskie, nie jest to odsiecz Warszawy, ani droga, po której żołnierz pierwszy wejdzie do oswobodzanego kraju. To wszystko podnosi jeszcze cenę polskich grobów i wznosi do miary zasadniczego zagadnienia polskiego pytanie: jaki jest sens tych śmierci, co za nie uzyskujemy?

W powieści Pruszyńskiego jest scena, przynosząca część odpowiedzi. Oto korowód żołnierzy, na szerokich podhalańskich płaszczach nosząc poległych towarzyszy, spotyka u wyjścia z Narviku pochód Norwegów, wracających do wyzwolonego miasta. Przystają, odsłaniają głowy, zapewne myślą: ci polegli, abyśmy mogli powrócić.

Można być spokojnym, że cmentarz Brygady w Haakviku nie przysypie nadmorski piasek. Jeszcze raz za cudzą wolność, za związek Polski z Europą i kulturą zachodnią. „Narvik — mówi podchorąży Czechel, bohater powieści Pruszyńskiego — ma swoje miejsce w przyszłym świecie narodów tak samo jak Lwów. Może na Łyczakowskim cmentarzu będą norweskie groby żołnierskie, jak tu są polskie... Oni nas także mieli za kraj daleki i naród obcy i dla nich nasze losy były obcymi losami. A teraz w Europie nie ma losów waszych i ich, tylko są losy nas z e. Wszystkich te same. A my musimy być w Narviku, i w Wogezach, w Syrii nawet, i w Palestynie, jak krzyżowcy, aby oni wszyscy stanęli nam pomocą”.

W ten sposób szlak grobów polskich żołnierzy, opasujący Europę, staje się dla Pruszyńskiego łańcuchem wiążącym i jednoczącym. Obecność Polaków i na dalekiej północy, i na południu Europy, ma być symbolem jej jedności, dokonywującej się dobrowolnie, wbrew niemieckiemu hasłu zjednoczenia przemocą. We wspomnianej już szpitalnej rozmowie von Gallen przeprowadza rannemu Podhalańczykowi, iż Polacy, sabotując niemiecką próbę zjednoczenia Europy, odrzucając niemieckie propozycje przedłużenia germańskiego świata do Bugu i poza Bug, skazali siebie na zostanie Rosjanami:

„W naszych oczach — krzacz Niemiec — rozpręga się to, co było kiedyś Polska, owe dziwne połączenie słowiańskiego tworzywa z łacińską obróbką, ów stop Zachodu ze Wschodem. Rosja upomni się o to, co jest w was jej, co jest słowiańskie, my upomniemy się o to, co jest europejskie”.

Ale europejskość Polski nie jest niemiecka. Polska przekładała Rzym i papieżstwo ponad niemieckie cesarstwo, szukając innej drogi dla swej chrystianizacji i europeizacji niż poprzez Niemcy. Toteż Kettler odpowiada Niemcowi: „Wielkość Europy to nie przekształcenie wszystkich krajów w niewolników jednego, ale wyzwolenie ich wszystkich do wspólnej i wolnej pracy”. Europe, zbiorowisko starych kultur narodowych, można zsolidaryzować tylko na zasadzie wolności. Wszelkie zaś zjednoczenie przemocą będzie wymagało wytępienia tych warstw, które z pokolenia w pokolenie przekazywały historyczną świadomość narodową. Stąd już poprzez prosty sylogizm, najpewniejszym dla każdego narodu źródłem obrony przed Europą terroru jest rozszerzenie świadomości narodowej przez powiększenie zasięgu grupy społecznej, odczuwającej odpowiedzialność za los narodu i państwa — co dla Polski jest prawie równoznaczne z hasłem głęboko sięgających przemian społecznych. To zadanie, złożone ściśle z polskim celem politycznym, wymaga — zdaniem Pruszyńskiego — udziału elity inteligencji w szeregach prostych żołnierzy, to dopiero ma być ostatecznym usprawiedliwieniem owego rozrutnego gospodarowania ludźmi. Sens pracy tych, którzy żyją, polega na wewnętrznym przebudowaniu narodu, sens śmierci wyraża się w uświęceniu i umocnieniu swojej krwią pozostałych przy życiu. Powstaje nieomal mistyczny związek krwi, żywym towarzyszem duchy umarłych, odpowiedzialność wobec żołnierskich grobów winna zapewnić kontynuację dzieła i sprawić, by nie stało się ono „coś kołem czyjejś osobistej sławy, pokryciem dla błędów przeszłości, zręcznym wybiegiem, kapitałem karierowych zysków”.

„Jeśliście na to — brzmie ostrzeżenie żałobnej mowy nad grobami poległych — przez waszą nieszczęsną polską miękkość pozwolić mieli, to jeszcze tym kiedyś pokarani będziecie, że ujrzyście szczyfową daremność waszej walki, ujrzyście jak wszystko ku staremu z powrotem wróci!”

Jest to więc program zbudowania Polski o nowej strukturze społecznej, o rozszerzonej na wszystkich świadomości nie tylko narodowej, ale i państwowej, Polski związanej z ideałami Zachodu przez swój postępowy społeczny. Zawiera się w tym automatycznie krytyka stanu przedwrześniowego, troska i obawa przed powrotem dawnych form. Przedstawia przy tym Pruszyński ten pogląd nie jako opinię własną, lecz jako ideologię młodego pokolenia, które przeżyło klęskę wrześnieową, na

emigracji zaś utworzyło kadry podchorążych i młodych oficerów w nowej armii. Do takich należał sam Pruszyński, do nich należał Bocheński, dopiero po Tobruku mianowany podporucznikiem.

Powieść o Narviku miała przede wszystkim wyrażać tę ideologię. We wstępie do swych żołnierskich wspomnień pisze Pruszyński, że „bardziej niż prawdę ścisłą działań wojennych, pragnęła owa powieść oddać prawdę najściślej procesów myślowych, przemian duchowych, nastrojów, jakie narodziły w huku armat, na dalekiej północy. Wzięła sobie za zadanie wypowiedzenie teraz na potem tego, co myślało, czym się trapiło, nad czym bolało, w czym pokładało nadzieje owe młode pokolenie, które do tej armii poszło poprzez granice, góry i lasy...”

II

Pokolenie, o którym mówi Pruszyński, to ludzie młodzi, najczęściej już urodzeni, a przynajmniej wychowani w Polsce niepodległej, w polskiej państwowej szkole. W każdym bądź razie są to mężczyźni urodzeni po roku 1900, należący do świata myśli XX-go wieku, obcy zarówno sporom wewnętrznym sprzed 1914, jak i podziałom na orientację z czasów pierwszej wojny światowej. Przeważnie nie mając za sobą udziału w walkach o niepodległość, nie posiadali w stosunkach sprzed 1939 r. głównej legitymacji rzeczenia. Niesłychanie rzadko zdarzało się, by człowiek w wieku między 30 a 40 laty zajmował poważniejsze stanowisko państwowe, w sejmie zaś przeciętna wieku posłów wyraźnie wskazywała, jaka generacja ma w ręku ster państwa. W 39-tym roku mężczyzna trzydziestoletni był wciąż fałszywie uważany za młodego. Przygotowany do życia publicznego, wychowany w duchu pracy dla państwa, mający poczucie obowiązku założenia rodziny, trafiał na samoobronę warstwy rządzącej i zapórę bezrobocia. Niskie zarobki, nieproporcjonalne do wysiłku, włożonego w fachowe studia, częsty brak pracy, uchwały korporacji zawodowych, zastrzegające się przed przyjmowaniem nowych członków — wszystko wskazywało młodzieży, że właściwie państwo poza obowiązkową służbą wojskową nie przewidziało dla niej miejsca w życiu. Wynikające stąd antagonizmy rozdzielały starych i młodych: młode pokolenie było patriotyczne, ale i radykalne. Szukało szybkich rozwiązań polskich trudności, kierując się często na błędne drogi, mając jednak za sobą wspólność postawy rewolucyjnej.

Pogłębiły ten przedział wydarzenia wrześniowe. Wrzesień grupa rządząca przyjęła jak przegrana bitwę, młodzi — jako niezdanie egzaminu przez państwo, zbudowane i kierowane siłami poprzedniego pokolenia. Ludzie, pamiętający zabory, pokolenie powstań i konspiracji, dostrzegali we wrześniu przede wszystkim ofiarność i bohaterstwo, patrząc na wrześniową kampanię niczym na jedno większe powstanie, które osiągało pewien zakres swoich celów, wywołując poruszenie i podziw Europy. Natomiast ci, którzy wyrosli już w Polsce niepodległej, nie mogli nie dostrzec, że Wrzesień przekreśla wszystkie ich nadzieje życiowe, nie mogli wyobrazić sobie życia bez własnego państwa, i z całą ostrością musieli widzieć niepomysłny egzamin siły zbrojnej, brak zdolności przewidywania, błędy organizacyjne, ślepe poczucie pewności siebie, błędy polityki zagranicznej, programu narodowościowego i społecznego. Jeśli kto doznał głębokiego wstrząsu, to właśnie to pokolenie, i szukanie głębszych przyczyn przegranej było dla niego naturalną reakcją. I właśnie ludzie, rewidujący swój stosunek do niejednego przedwojennego frazesu, we Francji, nieoddzieni stopniem oficerskim, zetknęli się z szarą masą przedwojennej emigracji, będącą, już przez sam fakt emigracji, smutnym świadectwem polskiej sytuacji. Zgłaszając się do wojska, trafili w nim na przedwrześniową rutynę polską, znumifikowaną w pierwszej fazie przez rutynę francuską z lat 1914—1918. Pruszyński kilkakrotnie z pamphletową ostrością podkreśla przeszarżowane metody, wskazuje na marsz na rozpoznanie z pełnym obciążeniem wyposażenia żołnierskiego, kreśli satyryczne sylwetki oficerów, nie odczuwających, jak nagle zmienił się przedział między szeregowcem a szarą i jak bardzo zmienił się sam szeregowiec, rekrutowany głównie z dorabiających się we Francji emigrantów.

Mówiono w Polsce przed wojną, że jesteśmy krajem bardzo religijnym i społeczeństwem, kochającym swe wojsko. Tymczasem stanowi kapitałowskiemu groził u nas poważny kryzys, wobec stale zmniejszającego się napływu do seminarów, wojsku zaś okazało społeczeństwo gorące oddanie podczas wojny, przedtem zaś różnie bywało — kadra oficerów zawodowych także cierpiała na niedostateczny przypływ ludzi ambitnych i utalentowanych: mało mieliśmy młodych generałów.

Był to po części skutek antagonizmu dwóch pokoleń, stanowiąc jedną z rys w polskim życiu. Pruszyński mówi znamienne, że wśród podchorążych z Coëtquidan było wielu takich, którzy przed wrześniem „nie chcieli być w wojsku”, co znaczy, iż byli gotowi bić się w razie potrzeby, ale mieli niczego do atmosfery życia wojskowego. Po ukończeniu szkoły w Coëtquidan trafili na front norweski, gdzie zawodowi oficerowie i podoficerowie spoglądali na nich jak na świeżo upieczonych wojaków, z lekceważeniem stawiając znak równania między brakami ich form wojskowych a zdolnością bojową. We wrześniu polscy podoficerowie zawodowi świetnie wykazali swoje kwalifikacje, a nawet i pamflet

Pruszyńskiego, kreśląc typ zawodowego oficera i przypisując mu pozawojkową ignorancję i płytkość, przyznaje jednak opanowanie, obowiązkowość, ambicję bojową i dzielność. Między oficerami sprzed Września a inteligentem podchorążym, często zajmującym już poważne stanowisko w życiu cywilnym, istniała z góry podłoże konfliktów, jakich nie brakło w obu Brygadach: Podhalańskiej i Karpackiej. Wyrównał je dopiero front.

Często, niemłodzi już doświadczeniem życiowym, a młodzi wojskowym stopniem podchorążowie widzieli po wrześniu konieczność zrewolucjonizowania form wojskowych; u wyższych szarż rutyna ustępowała powoli, a wszelki przeżytek zasłaniał się tarczą tradycji. Młodzi czuli, iż mogliby — według słów Pruszyńskiego — być „komisarzami politycznymi tej armii”, podczas gdy górne sfery jeszcze nie odkryły, że wojsko nowoczesne musi być armią techniczną i ludową. Pierwszemu zaprzeczała nienowoczesność wojskowego myślenia, drugiemu — stosunek oficera do żołnierza; podchorążowie zaś, znalazłszy się chwilowo na bliskim szaremu żołnierzowi poziomie społecznym, dostrzegali wyraźne błędy postępowania, pogłębiające i tak już istniejące przedział między oficerem z Polski a żołnierzem-ochotnikiem z Francji. Rewizjonistyczny stosunek do spraw polskich, krytyczne odnoszenie się do zwierzchników, nie przeszkodziło wprawdzie absolwentom z Coëtquidan być doskonałymi żołnierzami, ale pozwoliło im w drobnych konfliktach życia wojskowego dostrzec odbicie zasadniczego rozłam polskiego życia. Pruszyński również był podchorążym — zajmował stanowisko dowódcy strzeleckiej drużyny; to mu kazało napisać tę książkę.

12-ta drużyna 2-ej kompanii, dowodzona przez Andrzeja Czechela, bohatera powieści, składa się z paru cenzusowców z kraju, z emigrantów polskich we Francji, i kaprala Grudy, ochotnika legionu im. Dąbrowskiego w Hiszpanii. Cały przekrój społeczny: ci, którzy w ojczyźnie należeli do warstwy względnie uprzywilejowanej, ci, których z Polski wypędziła bieda, a którzy dorobili się we Francji, oraz ten, który biedę miał i tu, i tam. W szeregach Brygady znaleźli się wszyscy na tym samym szczeblu drabiny.

Emigrant we Francji — to żywe świadectwo o Polsce. Genezą bowiem emigracji chłopskiej i robotniczej było bezrobocie miast i nędza małopolskiej wsi. Emigracja mówiła o nierozwiązaniu sprawy społecznej przez Polskę po r. 1918, niedostateczności jej środków i błędów jej ustroju; emigrant wywoził się z nędzy i szedł na „saksy”, jako ów, który nie dostał od matki i musiał szukać chleba u obcych. Jeżeli zaś powiodło się i wszedł w nowe środowisko, Francja kojarzyła mu się odtąd z lepszymi warunkami życia, Polska zaś — z biedą. Trzeba było trudnego do opisanie cudu polskości, by ów człowiek rzucił rodzinę, względny dobrobyt i szedł do armii, traktowanej we Francji z początku jako jakieś gorsze wojsko, mające już za sobą przegraną i odwrót.

Niewątpliwie emigrant-ochotnik wywoził w sobie kompleks długoletniej nostalgii, zaciągając się pod polskie znaki. Powracał do wspomnień młodości, lecz właśnie odświeżając swą polskość, odczuwał wyrzut wobec ojczyzny, która doprowadziła go kiedyś do jej opuszczenia, skazała na tułaczkę, na szczyście, zawsze niepełne, bo zaprawione tęsknotą. Ta niechęć, spotęgnowana jeszcze przez poczucie krzywdy społecznej w Polsce, zwracała się przeciw polskiej warstwie kierującej i każdemu, kto mógł wyglądać na jej symbol. Dopomagała walnie tym nastrojom prasa francuska, atakująca polską politykę zagraniczną, powrześniową walkę, stawiająca znak równania między sanacyjnym rządem a polską zdolnością rządzenia. Emigrant, zgłaszający się do armii, był więc polski uczuciowo, ale pełen nieufności i krytycyzmu.

W armii spotykał się z oficerem, niechętnie uposażonym, należącym w Polsce do uprzywilejowanych. Wiadomo było przecież, że lepiej być podporucznikiem niż asystentem uniwersyteckiej katedry, i lepiej kapitanem niż docentem. W dodatku oficer ucieleśniał w oczach emigranta ludzi odpowiedzialnych za Wrzesień, za ustawę mobilizacyjną dla emigrantów. Emigrant, stając się żołnierzem w armii polskiej, powracał do dotkliwego przedziału między chłopem, robotnikiem, a inteligencją. Z francuskiego poziomu życia spadał do sytuacji szeregowca czy podoficera rezerwy, którego przyjęty przez nas żołd francuski niesłychanie upośledzał, tworząc wielkie różnice między uposażeniem szeregowca a oficera, podoficera rezerwy a podoficera - zawodowca. W dodatku oficer z Polski, przyzwyczajony do rekruta z Polesia, często nie umiał dostosować się do nowego materiału ludzkiego, jaki dostawał w ręce.

Ostatecznym symbolem rozdzielenia między emigracją a Krajem, między biedą a przywilejem, jest w powieści Pruszyńskiego kapral Gruda. Jeden z tych, którym wyjście na „saksy” nie dało poprawy bytu, przedłużając tylko na obcej ziemi rodziną biedę. Nosząc na piersiach znak rany z nad Niemna z 1920 r., na obojczyku miał posiekanie z madryckiej Ciudad Universitaria. To streszczało i jego drogę i polskie nieszczęście. Nieszczęście, związane ściśle z przekleństwem rozbiórów, które przerwały proces naturalnego zrastania się grup społecznych w całość narodową. Wiek XIX, tworząc nowoczesne narody, rozpinał jednolitą świadomość narodową od chłopów do królów, pominął Polskę. W Polsce stulecie upłynęło na rozmyślnie pracy zabójcy nad powiększaniem przedziału

między ludem a szlachtą. Żołnierz — tużacz Żeromskiego musiał ginąć z pańskiego wyroku, w kieleckiej wsi „Popiołów” pańscy parobcy chłoszczą nieposłusznego chłopca — wojaka, chłop w odwet obrabowuje i zdradza powstańca 1863 r., szlachcie odpłaca mu przysiężnikiem z zaborczą władzą, chłopstwo zaś z góry udaremnia w Galicji próby powstania.

Zdawało się, że wojna światowa zmieni na ziemiach polskich ten stan rzeczy. Taką była zapowiedź legionów, takie marzenia socjalistów. Polska Niepodległa zrównała wprawdzie wszystkich w prawach obywatelskich, ale równouprawnienie obywatelskie po r. 1926 stopniowo stawało się fikcją, nie mówiąc już o społecznym. Droga przejścia z jednej warstwy do drugiej była dla biednych praktycznie zamknięta. Jakiś przedział leżał między krakowską wsią a nie tak dalekim pałacem przemysłu na Śląsku, między góralską sadybą a pszczyńskim zamkiem! Ogólna nędza okupacji niemieckiej współ z odczuciem nieszczęść bezpaństwowego życia łączyła ostatecznie niezróżnięte warstwy w jeden naród. Niemcy, choć niszczyli elitę polskości, rozszerzyli niepomniernie samą polskość.

Co jednak dokonało się w Kraju, poza staje do dokonania na emigracji. Nie ma zapewnień, że nigdy nie powstanie dawne widmo; emigracja musi wrócić do kraju taką, by wypłoszyć upiory polskiej waśni, jeśli się jeszcze gdzieś błąka. Nie ma zapewnień, jak Kraj przyjmie emigrację: musi ona osiągnąć ten stopień wyrównania i zjednoczenia społecznego, jaki uzyskuje Kraj.

W chwili gdy Pruszyński pisał swą powieść o Narviku, Kraj przeżywał dopiero pierwszy rok okupacji i wydawało się, iż nowy program społeczny, nowy styl życia polskiego, powstanie przede wszystkim na emigracji. Budowanie owej nowej Polski zaczyna się w naturalny sposób od największej zorganizowanej grupy społeczeństwa emigracyjnego, od armii. Armia jest skupiskiem młodych, których autor widzi jako reformatorów i budowniczych. Cywilną przeszłością związani z rządzącą warstwą inteligencją, żołnierską teraźniejszością, brakiem oficerskich stopni należą do najniższej sfery wojska, do polskiej masy emigranckiej, wygnanej z ojczyzny przez głód. Mogą więc być pomostem między Polską dawną a przyszłą. Przechowują tradycję narodową Polski szlacheckiej, wchodząc w Polskę pracowników. Położą podwaliny pod dzieło pełnego zespolenia narodu. To jest ten cel, dla którego elita młodego pokolenia nie tylko ma zająć miejsca w sztabach, ale i miejsca w zwykłej strzeleckiej drużynie. To jest wizja, dla której najlepszy i najpotrzebniejszy ginął na pierwszym linii frontu. To po to było trzeba, aby „w obłądce cekaemu spotkał się były górnik z byłym ambasadorem i ziemianin z emigranckim bandosem. Trzeba, by w marszu ciężki erkaem z ramienia milicjanta, który walczył w Guadalajarze, przeszedł na plecy katolickiego historyka z seminarium uniwersyteckiego”.

W tym pokolenie widzi swą misję, odrobienie błędów przeszłości i najpewniejszą drogę ku Polsce, zachowującej indywidualność narodową dzięki społecznemu uniwersalizmowi.

III

Mimo że „Droga wiodła przez Narvik” podsuwa właściwie postulat rewolucji, nie jest to książka polityczna. Pruszyński zastrzega się przed złudnym oczekiwaniem, że sztyl polityczny, a tym bardziej sztyl obcy lub narzucony, może dokonać prawdziwej zmiany polskich stosunków. Nie łatwiejszego, niż zastąpić jedną warstwę przez drugą, mieszczaństwo i inteligencję przez kastę urzędniczą i przemalować sztyl na kolor etatystyczny. Ani reforma rolna, ani upaństwowienie fabryk nie zmienią jeszcze istoty rzeczy, gdyż zawsze pozostaną rządzący i rządzeni. O atmosferze moralnej państwa decyduje stosunek rządzącego do rządzonego, silniejszego do słabszego. Uczciwość tego stosunku można oprzeć tylko na poszanowaniu ludzkiej jednostki, tak jak stosunek obywatela do państwa musi opierać się na żywym poczuciu wspólnoty. Cel publicystyki, przytłaczającej powieść o Narviku, jest przede wszystkim humanistyczny, a nie polityczny; rewolucją, głoszoną przez Pruszyńskiego, jest rewolucja moralna i kulturalna, mimo że wiąże się z nią pewne nieuniknione następstwa polityczne.

Do nich przede wszystkim należy zasada równego startu życiowego i równej opieki w razie nieszczęścia; zasada zniesienia wszelkiego przywileju, biorącego pierwszeństwo przed społeczną użytecznością jednostki. Godzi to we wszelką dyktaturę, czy to jednostek, czy partii; przeciw niej też zwraca się głównie ostrze pamfletu Pruszyńskiego, przed nią przestrzega zakochanie, dając wyraz obawie, by ogrom ofiar, ponoszonych przez naród, nie był znów dyskontowany przez przemienioną postać starego polskiego widma: pańskości, pomiatającej innymi, strzegącej zazdrośnie swej zdobyczy, znów rozcinającej społeczeństwo na uznanych i nieuznanych. Wszystko jedno, jaka będzie nazwa panów i w kim się zarożumiała sobiepańskość ocknie...

Widząc w młodej inteligencji, niespaczonej politycznym przywilejem, jedną z najistotniejszych sił twórczych przyszłego państwa, niepróbuje również Pruszyński jej podstawić rozwojową: kulturę szlachecką, której treść odziedziczyła. Drugim zepsotem kulturalnym, któremu przynajmniej istotne polskie war-

tości, jest kultura chłopska, jeszcze jednak niedostatecznie przesycona tymi treściami, które kulturę grupy społecznej podnosi do rangi kultury narodowej. I w dawnym szlaccu, i w jego obecnym spadkobiercy — inteligencji, a także i w chłopie, widzi Pruszyński odwagę, rycerskość, idealizm, instynkt demokratyczny. Nieszczęściem nowoczesnego państwa polskiego była niedostateczna kontaminacja obu kultur, niedostateczne przejście przez warstwę chłopską wiekowych pojęć narodowej kultury, wytworzonej przez szlachtę, niedostateczne przenikanie chłopów w szeregi inteligencji.

Tyrada przeciw inteligencji byłaby nonsensem: w każdym zdrowym ustroju wytworza się elita umysłowa, rządząca państwem. Idzie jedynie o to, by zasługa osobista nie degenerowała się w zasadę dziedziczności, funkcja rządzenia w przewagę społeczną jednej grupy i krzywdę innej, by dostęp do elity nie wiązał się z pozycją majątkową jednostki. Nie spadek kultury szlacheckiej był przyczyną niespełnienia zadań społecznych przez inteligencję Polski Niepodległej, lecz istnienie inteligencji fałszywej, pseudo-inteligencji, tworzonej przez dwa najzwyklejsze sity selekcji społecznej: przywilej partijnej przynależności i drożyznę wykształcenia. Owa kasta półpanów — jak ją Pruszyński określa — zbyt była zazdrośna o przywileje, zbyt nieufna we własną wartość, by zdobyć się na dokonanie reformy społecznej. Ona też ponosi odpowiedzialność za grzechy dwudziestolecia, za dolę emigrantów-bandosów.

Ukazanie się książki Pruszyńskiego wywołało swego czasu poruszenie wśród emigracji polskiej w Anglii. Była to jedyna powieść polska i jedna z bardzo niewielu prawdziwych powieści żołnierskich, jedyna w swej otwartej postawie rewizjonistycznej, podejmująca spadek Żeromskiego przez swą patriotyczną i społeczną żarliwość.

Na Środkowy Wschód prawie, że nie dotarła. Mimo tak wielkiej bliskości i wewnętrznych konfliktów i ideologii między Brygadą Karpacką a Podhalańską, nawet w Karpackiej był jej egzemplarz rzadkością. Owcześnie prasa wojskowa zabijała ją milczeniem, płytki czytelnik szkodził jej pochopną opinią, że jest złą powieścią i ta książka, nie mogąc poddać kompozycyjnie nawałowi pałacowych zagadnień.

Kiedy na Middle East przybył jej prawdziwy czytelnik, żołnierz polski z Rosji, zabrakło jej nielicznych egzemplarzy. Nie wiadomo zresztą, czy „Droga wiodła przez Narvik” znalazłaby popularność w Armii Polskiej na Wschodzie. Konstrukcja społeczna tej świeżej formacji polskiej była tak bardzo różna od Podhalańczyków i Grenadierów z Francji! Wysoki żołd szeregowego usunął wiele różnic i zadrążeń, wspólny pobyt w więzieniach i obozach stworzył koleżeństwo żołnierza i oficera, do czego dziś przybyło jeszcze koleżeństwo krwi na froncie. Długi pobyt na terenie angielskim zmienił stosunek między dowódcą a podwładnym, ogólna troska polityczna wyrównała sposób myślenia. Wreszcie tutaj, pierwsze, prawdziwie powszechne szkolnictwo w formie szkół junackich, otworzyło całej młodzieży drogę do matury, a tym samym do podchorążówki i stopnia oficerskiego. Wyrównało się wiele społecznych przeciwieństw, a po okresie niewoli i nędzy internowania dawna Polska okryła się idealnym nimbem krainy szczęśliwej, mlekiem i miodem płynącej. Z odległości lat na wrześniu pozostał już tylko blask heroizmu, unoszący się nad ziemią, w której doznawało się nieraz i krzywdy społecznej, i krzywdy politycznej.

Może nie pora dziś o tym wspominać. Ale jakże łatwo idealizację ojczyzny rozciągnąć na idealizację systemu politycznego, jakże łatwo wtedy rozgrzeszać się z własnych błędów. Było nieszczęściem naszej historii, że zwycięstwa pozostawały bez rezultatów, a klęski bez rewolucji. Sentymalna, czuła, miękka i romantyczna miłość ojczyzny nie umiała się przemienić w miłość męską, odważnie spoglądając w prawdy niewesołe, kochającą ojczyznę prawdziwą, a nie idealizowaną. Niebezpiecznie jest, gdy rany narodowe zbyt wcześnie zarastają blizną zapomnienia: może je wówczas rychło zasklepić także i „błona podłości”.

Rana narodowa znów spływa krwią, wsiąkającą w ziemię włoską, przez którą już raz szedł żołnierz do Polski. Gdy wracali, opadało z niego żołnierstwo — pozostawał chłop, idący niekiedy pod katowski topór za ucieczkę z pańskiej wsi. I polski dramat zaczynał się od początku.

Na ziemi włoskiej rosną groby. Umarli stają przy nas i składają na żywych swą odpowiedzialność za polskie losy. Zobowiązują, by ich śmierć, beczenna śmierć, nie stała się w czymkolwiek daremna. W grobach zostaje wielu najlepszych, rozrzuć — w imię najwyższych celów — posyłanych na kule i miny. Wśród grobów jest także dół Podhalańczyka Bocheńskiego, jednego z tych, którzy zstępował w żołnierską rzeszę, by na nowo wiązać i łączyć rozdzielone narodowe arterie, którzy walczyli pod Narvikiem, by łączyć i wiązać ze sobą rozdzielone narody Europy. Ten grób, ta treść ideowa, z jaką dla podchorążych z Coëtquidan łączył się Narvik, przypominają dzisiaj, iż niedość jest o Polskę walczyć, że trzeba w sobie nosić wyraźny obraz jej przyszłości i już teraz dawać mu świadectwo.

Po koszmarnych obrazach, widzianych wzdłuż szosy nr 7, po tragicznych, rułnackich miast takich, jak Formia, Cisterna, Itri i inne, gdzie nie pozostał kamień na kamieniu, Rzym sprawia wrażenie prawdziwego cudu. Wieczne Miasto nie poniosło żadnych szkód i nie widać w nim zniszczeń. Są może jakieś szkody w niektórych, bardziej oddalonych od środka miasta dzielnicach (choć ja sam nie widziałem żadnych), Rzym jednak jako całość nie zdradza śladów bombardowań powietrznych, działania artylerii, ani min. Nawet szczyby w oknach są niekątne, zjawisko nader rzadkie w miastach włoskich. Ruch na ulicach jest ożywiony, prawie wszystkie sklepy są otwarte i nęca oczo przechodniów pięknymi towarami, rozmieszczonymi w oknach wystawowych, kawiarnie otworzyły z powrotem swe gościnne drzwi. Na zewnątrz, Rzym bardzo nie wiele zmienił się w porównaniu z okresem przedwojennym. Tylko duża ilość wojsk i samochodów

świat cały wiadomości o operacjach na froncie włoskim.

W słynnej „Opera Reale“ Irving Berlin daje codziennie przedstawienia swej włoskiej rewii amerykańskiej, „This is the Army“. Kobiety nie ma tam zupełnie. Sam program jest typowo amerykański. Niektórzy aktorzy, zwłaszcza murzyni, oraz jazz są całkiem pierwszej klasy. Wielka sala Opery przepelniona jest co wieczora do ostatniego miejsca. Ponieważ przedstawienia są bezpłatne, tłok jest nieprawdopodobny.

W teście Opery „British Army Education“ urządził od czasu do czasu koncerty dla żołnierzy alianckich. W koncertach tych biorą udział znani śpiewacy i śpiewaczki włoskie. Oczywiście, w programach tych figurują prawie wyłącznie opera włoska. W związku z pierwszym takim koncertem miało miejsce charakterystyczne wydarzenie, które przez

ROMAN FAJANS

Życie Polaków rzymskich zabito żywym rytmem wnet po nadzieji Sprzymierzonych. Polaków było w Rzymie sporo. Jedni mieszkali tam już wiele lat przed wojną, innych zagnała tu wojenna zawierucha. Podczas okupacji przeszli oni chwiele dość ciężkie i wielu z nich musiało kryć się przed Gestapo. Podkreślić należy, że ludność, a nawet często i władze włoskie, odnosiły się do nich z całą życzliwością i nie jednego uratowały z rąk niemieckich oprawców. Zaraz po oswobodzeniu miasta przybył do Rzymu polski oficer łącznikowy, ppłk. K., który otworzył tu swe biuro. Równocześnie działać zaczęły i inne instytucje polskie, cywilne i wojskowe. Wszystkie te instytucje zgrypowane są obecnie z banków rzymskich, gdzie zajmują parę dziesiątków pokoi. Chorągwie polskie powiewają na dachach rzymskich hotelach, zajętych na mieszkania dla polskich oficerów i urzędników. Jeden z nich znajduje się przy Via Vittorio Veneto, drugi — przy ogrodzie Pincio. W kilku punktach miasta rozwieszono estetyczne szafki z fotografiami, ilustrującymi boje żołnierza polskiego we Włoszech, oraz mapy. Przyciągają one wielu ciekawych widzów.

Polonia rzymska zdołała zorganizować już dwa wielkie zebrania publiczne. Pierwsze odbyło się z okazji przybycia generała Andersa. Przemawiali pp. Loret i Pawlikowski, odpowiadali serdecznie lecz mocno gen. Anders. Z okazji rocznicy tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego urządzono żałobną akademię w jednej z większych sal Rzymu. Po przemówieniach okolicznościowych chóry włoskie odśpiewały szereg pieśni religijnych, wśród których było parę starych utworów polskich. Odbyły się też w polskim kościele Św. Stanisława dwa nabożeństwa żałobne: za duszę ś.p. gen Sikorskiego i ś.p. Adolfa Bochenieckiego.

Ulice Rzymu są bardzo ożywione, choć znacznie mniej hałaśliwe, niż neapolitańskie. Wskutek dużego napływu uchodźców liczba mieszkańców podwoiła się niemal i problem mieszkaniowy nie należy tu do łatwych. Po mimo ciężkich warunków egzystencji, widać na ulicach Rzymu znacznie więcej dobrze u-

LUDWIK BRZESKI

Pierwsze godziny w wyzwolonej Anconie

Czołgi, wozy, kariery jadą bezustannie naprzód. Polnymi drogami, na północ od La Villa, traktami, wodociągami od Ossino, głównym „paradnym“ szlakiem nr 16, prowadzącym wprost do Ancony, Niemcy cofają się na całym froncie!

Mijamy długie kolumny, wiozące uzbrojonych żołnierzy, i wpadamy w sam środek posuwającej się naprzód kompanii saperkiej Karpackiej Dywizji. Niemcy pozostawili po sobie pamiętki w postaci pól minowych i zerwanych na drogach mostów. Saperzy rozminowują drogi, budują przeprawy na rzekach, tworzą tymczasowe objazdy. Min jest wiele, choć nie tyle, co w poprzednich etapach walk. Jeden z wołów saperских wyleciał przed godziną. Przejechał po siedmiu minach, nie eksplodował, wpadł na śmieć, ostatni! Trzeci rannych. Dwa kilometry przed Anconą w czasie rozmowy wyświstała drogi nr 16 zginął por. Adolf Bochenicki. — Tym razem opór jest bardzo słaby. O godzinie 2.45 w południe dnia 18 lipca, dokładnie w dwa miesiące po wspaniałym zwycięstwie na Monte Cassino, oddział polskie meldują światu o nowym wielkim zwycięstwie — zdobyciu Ancony.

Kiedy około czwartej znajdujemy się w mieście, kołczy się oczyszczanie miasta z resztek sił nieprzyjacielskich. Włochów prawie nie widać. Mieszkańcy uciekli w obawie przed bitwą. Ci, co zostali, witają nas bukietami kwiatów i winem. Wojsko przeważa się przez miasto i pędzi dalej w pościgu za Niemcami. Zostaliśmy w wymiarnym mieście, po którym tu i ówdzie leżą jedynie zniszczone.

Miasto nie jest specjalnie zniszczone. Widoczne czasem ruiny, to ślady bombardowań alianckich. Natomiast poważnie zniszczony jest port. Niemcy wysadziłi dworce, wielką fabrykę tytoniu, biura portowe. Dynamitem wysadzono okręty i statki, aby zablokować wejście do portu. Mieszkańcy wiedzą, gdzie leżą miny. Pokazują je żołnierzom. Najwięcej ich jest w porcie. Pewien odcinek wybrzeża pokryty jest całą siecią min, powieszonych ze sobą drutem. Wybuch jednej z nich pociąga za sobą eksplozję następnych. Przewidziano to było na wypadek desantu aliantów w Anconie. Alianci sprawili jednak niespodziankę, przyszli od strony lądu...

Wszystkie sklepy pozamykane, na szynach leżą zniszczone, zielone wagony tramwajowe. I nie ma wody, środków transportu, elektryczności. Niemcy zniszczyli wodociąg, elektronicznie wysadziłi jeszcze dwa miesiące temu, samochody zarekwirowali i wywieźli. Tak jak w innych miastach przez Niemców okupowanych, ponakradali, co się tylko dało. Od

W OSWOBODZONYM RZYMIE

branych osób, niż w Neapolu. Zwłaszcza zwraca uwagę wielka ilość ładnych, eleganckich kobiet. Wielkie kawiarnie przy Via Nazionale postawiły znowu na chodnikach swe stoliki i krzesła. Tłoczno w nich zawsze, choć dostateczna ilość „oranżade“ bez śladu pomarańczy lub „czarna kawa“ z „ersatzu“ i bez odrobiny cukru.

Ale za to słynny ogród, Pincio, pozostał tak samo czujący, jak przed wojną. Mieszkańcy naprzeciw niego i z okna mogą widzieć jego stare drzewa i ośnieżające kwiaty. Wczorami chodził się tam na spacer, krąży się w półmroku po jego rozkosznych alejach, wśród posągów z białego marmuru. Z góry, panorama miasta jest niezrównana. Ostatnie białki dnia gasną, oddając się od kopuł kościołów i zalewają mistycznym światłem ten jedyny na świecie obraz... Jakże Rzym jest piękny...

Pani B., dziennikarka polska, mieszka w Rzymie od paru lat. Pani B. jest nie tylko kobietą utalentowaną. Jest ona też odważna. Nie bała się robić zdjęć z ostatnich chwil Niemców w Rzymie. Ze swego okna, z aparatem w rękę, zdołała uchwycić na klisze szereg nader interesujących scen z całego dnia 4-go czerwca. Praca ta nie była całkiem bezpieczna. Raz jakiś żołnierz niemiecki skierował na panią B. karabin. Kiedy indziej jeden z oficerów nazii pogroził jej pięścią. Ale pani B. spokojnie fotografowała nadal. I oto obecnie prasa amerykańska i egipska publikują jej sensacyjne zdjęcia. Oczywiście, fotografie te nie są doskonałe z technicznego punktu widzenia. Nie należy jednak zapominać, w jakich okolicznościach zostały zrobione. Widzimy na nich, jak „zdobywcy świata“ uciekali z Rzymu w dniu 4 czerwca. Wszystkie sposoby ucieczki były dla nich dobre: samochody wojskowe i prywatne, konie, zaprzęgnięte do dorozek rzymskich, czołgi, ciężarówki, działa. Tysiące Niemców wycofywały się z miasta pieszo, w ciemni ścian domów. Jestem pewien, że zdjęcia pani B. muszą sprawić nie małą satysfakcję tym wszystkim, którzy nie zapomnieli jeszcze tryumfalnego pochodu Niemców poprzez Polskę, Francję, Belgię, Holandię... Jak wiele

zmieniło się od ponurych dni 1939-1940 roku...

Pani B. opowiada... „Z mego mieszkania przylądkałam się uciekać Niemców z Rzymu“. Mieszkanie pani B. jest doskonale położone i z okien jego widać jedną z głównych ulic stolicy, „Ucieczka Niemców“ opowiada moja rozmówczyni — rozpoczęła się w sobotę, 3-go czerwca, wieczorem. Jeszcze w piątek twierdziłi oni, że będą bronić Rzymu do ostatka. Przygotowywano się do walk ulicznych.

W nocy z 3-go na 4 czerwca pani B. nie mogła spać. W pobliżu jej mieszkania znajdują się kilka wielkich hoteli rzymskich, z których przez całą noc dochodził nieprzerwany zgiełk. Co chwila zajeżdżały przed hotel ciężarówki niemieckie, ładowano na nie ciężkie



Ucieczka Niemców, widziana z okien pani B.

skrzynie i bagaże, po czym odjeżdżały, by wrócić powrócić znowu i zaczynać pracę od początku. Od czasu do czasu słychać było niemieckie słowa: „Ist das schon alles?“ (Czy to już wszystko?) lub „Sind alle weg?“ (Czy wszyscy odjechali?). Kolumny wozów, nalożonych wojskiem, czołgów i dział przejeżdżały z hałasem przez milicję ulic. Nikt prawie nie spał tej nocy w Rzymie. Każdy czuł, że dzieje się coś nadzwyczajnego i ważnego.

Następnego ranka pani B. udała się do owych hoteli i zaczęła wypyttywać portierów. „Niemcy?... Wynieśli się wszyscy tej nocy“.

Z FRONTU WŁOSKIEGO

przez korespondenta wojennego czterech jeńców niemieckich“.

Kiedy około godziny dziesiątej na drodze, wiodącej z Ancony do m. p. Kwatery Prasowej, w małym, czerwonym domku, pięć zsiadło mleko, chwilać sobie temperaturę i smak napoju, oraz pracować sobie kaniarskie, wpaść mi nagle niespodzianie na myśl pewne skojarzenie: z kraju przysłanej fotografii polskiego „rikszy“ w Warszawie, zmuszonego w ten upokarzający sposób pracować na swoje utrzymanie — i niemieckiego „rikszy“, wiozącego po przegranaj bitwie ranne kolegi... Czy to przypadkowo narzucające się porównanie nie jest symbolem zmiany ról naszych?

Pod zdobyciu Senigallii

Patrole Dywizji Karpackiej wróciły z jak najlepszymi wiadomościami. Ogni artylerii własnej zrobił swoje. Nieprzyjaciela poczyną opuszczać Senigallie. Oddział Polskiego Korpusu w godzinach przedpołudniowych dnia 4-go sierpnia opanowują zachodnią część miasta...

O godzinie 16-tej jeden z baonów z odwodu zostaje natychmiast skierowany w pościg za nieprzyjacielem w kierunku na Scapezzano. Oddział rozpoznawczy dociera do przepływającej przez miasto rzeki Misa. Ani jednej przeprawy. Wszystkie mosty zerwane. Stają czołgi i kariery. Saperzy przy pomocy Duldzera poczynają pracować nad przeprawą. Ale piechota, nie czekając na przeruczenie przez rzekę środków wsparcia ogniowego, wali na naprzód. Saperzy i pionierzy oddziałów rozminowują przejęcia. Nieprzyjaciel, jak sep, czyha wzdłuż domów i pobliższych wzgórzach. Na grzbiezie 82 jest 30 Niemców i kilka spandawów. Tyle samo na wzgórzu sąsiadnym. Ale piechota nasza jest w gorące posiedzenie. Krótkie, ale zdecydowane uderzenie, i nieprzyjaciel poczyną cofać się dalej. Natarcie idzie w kierunku Scapezzano i Cavallari.

O godzinie 19.30, po dwóch godzinach ciężkiej pracy, zaczyna się przeprawa na rzecę. Piechota idą z pomocą czołgi, kariery i cekaemy. Ale cofnięcie się nieprzyjaciela było tylko pozorne. Ściągnięto on wprawdzie z nad rzeki czołowe elementy rozpoznania, ale sam czekał na grzbiezie Scapezzano. Na przygotowanych, silnie umocnionych pojeźcach. Taki sam manewr uczynili Niemcy na południowy zachód, gdzie sąsiadni batalion Dywizji Karpackiej pod dowództwem kpt. Maszewskiego przeprowadził się przez rzekę i zdobył miejscowości Ronticelli. I tam również okopali się Niemcy na wzgórzach i Polacy ze względu na zapadający

Na ulicach przejeżdżały w dalszym ciągu nie kończące się kolumny niemieckich wozów. Rozdawano ludności rzymskiej zapasy żywności, których uciekająca armia nie zdołała zabrać ze sobą. Oficerowie i żołnierze wymieniali i makę, rzę i cukier na ubrania cywilne. Pośrodku ulicy przechodnie zdejmywali z siebie marynarki i oddawali je nazim w zamian za nieco żywności. Tłum rabował już składy i koszary niemieckie.

Okolo południa pani B. spotkała młodego żołnierza niemieckiego. Szedł pieszo, zmęczony i osowiały, z karabinem zawieszonym u szyi. Zapytała, jaką drogą należy iść do... Florencji. „Jak to — odparł pani B. — chce pan iść piechotą do Florencji? Przecież nie zjadzie pan tam przedzie, niż za parę dni. Musiałby pan przejsz trzysta kilometrów“. Za całą odpowiedź żołnierz wykonał rozpaczliwy ruch ręką. „Przeszedł, już sześćdziesiąt kilometrów, spróbuję przejsz jeszcze trzysta. Mam już wszystkiego dosyć“. W tej samej chwili cywilny samochód włoski zatrzymał się u brzoju jezdni, tuż obok miejsca, w którym toczyła się rozmowa pani B. z żołnierzem. Wóz był pełen żołnierzy niemieckich. Jakis oficer, który pojawił się nagle, zapytał żołnierzy, skąd wzięli ów samochód. „To bardzo proste — odparli — spotkaliśmy go, gdy wiozł nieoficjalnych. Zabiliśmy ich, zabralismy wóz i oto jesteśmy“. „Bardzo dobrze zrobiliście, chłopcy“, rzekł oficer.

W niedzielę po południu ucieczka Niemców przybrała formy jeszcze bardziej bezładnej i zalosnej. Nie było już śladu porządku, jednostek ani dowództwa. Uciekał, kto i jak mógł. Pojedyncze czołgi przejeżdżały pędem, dosłownie oblepione żołnierzami, uwieszonymi u ich dział i pancerny. Można było spotkać żołnierzy, idących boso. Przeszli oni dziesiątki mil pieszo i zdarli buty. Byli zmęczeni i pokryci kurzem, ale niektórzy spośród nich rozmawiali chętnie. Opowiadali niezliczonym przechodniom o swych straszliwych przeżyciach z dni ostatnich i o beznadziejnych walkach pod nieustannym deszczem i bombami. Bili się śmiertelnie zmęczeni, głodni, prawie bezbroni. „Brak nam amunicji, żywności, samochodów, wszystkiego. Nie mamy

zupełnie lotnictwa. Otoczono nas i, po większej części, wycięto. Przez cały czas oficerowie nasi opowiadali nam bajeczki i mieliśmy nadzieję, że zdolamy oprzeć się jeszcze. Teraz już, że wszystko jest stracone“.

Oto jak w niedzielę, 4-go czerwca, „Herrnvolk“ uciekał z Rzymu...

Pani M. jest również dziennikarką polską. Była nawet może koleżanką z „Kuriera Warszawskiego“ i przez długie lata pełniła obowiązki korespondentki tego dziennika, naprzód w Berlinie a potem w Pradze. Oczywiście, zna doskonale niemiecki. Prawdopodobnie dzięki temu nazi, biorąc ją często za Niemkę, zwrzerali się jej z różnych rzeczy, które nie łatwo było usłyszeć cudzoziemcom.

Pewnego wieczoru, wiosną bieżącego roku, znajdowała się wraz z paru Polakami i jedną Szwajcarką w restauracji jednego z wielkich hoteli rzymskich. Parę krzesel przy ich stoli-



FELIKS TOPOLSKI:
W oswobodzonym Rzymie: kawiarnia

ku pozostało jeszcze wolnych i, niemieckim zwycięzcy, zajęli je wkrótce oficerowie z „feldgrat“. Nawiazła się rozmowa. Jeden z oficerów powrócił był dopiero co z Berlina i opowiadał okropności o stanie, w jakim znalazł stolicę Rzeszy. Ponieważ zaś pani M. zna Berlin bardzo dobrze, rozmowa ożywiła się od razu. Oficer wyleciał, jedne po drugich, ulice, place i całe dzielnice Berlina, które zna-

„Mielismy piękną Florencję etc. etc.“

i wreszcie:

„Mielismy nasz piękny Berlin. Nie wiele zeń pozostało. Co najwyżej parę całych domów... I one, spodobały się Sprzymierzonym. I miś je będą napewno. Lecz my nadal, mimo to, zwyciężymy...“

GABRIEL DARDAUD
Korespondent wojenny AFP

BUNT PARYŻAN

Paryżanie się zbuntowali. Z chwilą kiedy huk dział wpadł w drżenie szyby śródmieścia, Paryżanie nie mogli się już pohamować. Wskękość ich dojrzała zbyt długo. W ciągu pięćdziesięciu miesięcy wierni obyczajom życia paryskiego krążyli po Bulwarach, zachodzili na Pola Elizejskie, przechadzali się po nadbrzeżach Sekwany i nigdy, nigdy nie „widzieli“ Niemców.

Było to zjawisko, wobec którego najuczciśsi niemieccy doktorzy psychologii pozostawali bezbronnymi. Nadaremnie oficerowie i żołnierze niemieccy nie szczędzili uśmiechów i ukłków. Nadaremnie zmuszali się do uprzejmości, elegancji, nadskakiwania. Nadaremnie ustępowali swoich miejsc paniom i zorganizowali — co już było w lepszym guście — wielką paradę wojskową na cześć św. Filipa, w imieniu marszałka Pétaina — Paryżanie i Paryżanki zaciskali zęby i spoglądali gdzie indziej.

Nie zwracano na nich uwagi nawet wtedy, kiedy w pierwszym rzędzie foteli Comédie Française okłaskiwali Moliera czy Racine'a, dowodząc w ten sposób niezbiście, że nie jest jeszcze barbarzyńca, skoro się urodziło nam brzegami Sprewy czy w okolicach Monachium.

Trwało to pięćdziesiąt miesięcy, w czasie których Paryżanie, od policjanta do stróżki, od chłopca na posyłki do sklepowej, udawali, że nie widzą Niemców, ukrywając przed nimi zarówno swoją nienawiść, jak i niepokój. Niemcy znajdowali w Paryżu ochr, które nie widzieli, i zamknięte usta. Ludzie, lubiący się gapić jak nikt inny w świecie, nigdy nie odwrócili głowy, aby zobaczyć gwardię niemiecką, defilującą wzdłuż Rue de Rivoli, a orkiestrę hitlerowskich grających niedziel w Tuileriach i w Ogrodzie Luksemburskim wśród żołnierzy, kapitan Maszewski.

Całą noc trwa wymiana ognia i całą noc nieprzerwanie tróją patrole. O świcie nadchodzi pierwsze meldunki. „Sytuacja nie ulega zasadniczemu zmianie. Nieprzyjacieli prowadzi dalej roboty ziemne i umacnia się na stanowiskach“.

W godzinach rannych 6-go sierpnia panuje na froncie cisza. W południe spada deszcz i cały teren działań bojowych zamienia się w błoto. Żołnierze, okopawszy się przyworzyce, leżą na ziemi i trzęsie ich febra. Ale wśród tej strasznej pogody nie poznaliśmy nawet, że wszyscy na swoich stanowiskach gotowi są do ataku. Czekają tylko na znak. Jest cisza. Milczą działa. Ale łada godzina, łada chwila może pójdzie atak na Scapezzano...

Dzień ten Paryż tylko co przeżył.

Świat mało zna Paryżan. Aby się z nimi żyć, nie wystarczy spędzić kilku dni czy nawet kilku miesięcy gdzieś między Placem de l'Etoile a Placem Bastylii. Paryżanie to swoista rasa Francuzów. Są oni zadziwiająco konserwatywni. Jeśli ktoś z nich decyduje się na przerwę, to na przerwę jakiegoś dziesięć dni, a nie na całe życie, a jeśli wprowadza się do mieszkania, to często na okres trzech pokoleń. Paryżanie, ci prawdziwi, żyją w ciasnym kręgu swojej dzielnicy. Na czterech czy pięciu najbliższych ulicach znajdują swojego sklepiarkę, swojego krawca, swoją kawiarnię, szkołę dla swoich dzieci i swój kościół parafialny. Udać się na wieżę Eiffla to dla nich wielką wyprawą, pójść do bazyliki Sacré-Coeur na Montmartre — to znaczy odbyć pielgrzymkę, a zapuścić się do Ogrodu Botanicznego lub na Montparnasse — to znaleźć temat na tydzień dla rozmów w kole rodzinnym.

Tacy są ci Paryżanie, których cudzoziemcy chętnie wyobrażali sobie jako spędzających czas na bezustannej zabawie między bulwarowymi szynkami a dancngami Montmartre'u.

Ludzie bardzo poważni, ci Paryżanie, którzy w ciągu ostatnich półtora wieku robili niemal ze co pokolenie jedną rewolucję, nigdy nie działali lekomyślnie. Zawsze, ilekroć uważali, iż jakaś sprawa warta jest tego, aby za nią umierać, w sposób naturalniejszy w świecie razem ze swoim piekarszem, sklepikarzem, proboszczem, deputowanym i komisarzem policji wznosili barykady i walczyli w nich równie dobrze za swojej dzielnicę, co za Paryż i za Francję.

Godziny, jakie przyszło im niedawno przeżyć, przeżywali już przed nimi Paryżanie z lat 1789, 1830, 1848, 1871 i 1914. Ten sam ogień ożywił ich wszystkich. Rozpoznaje ich dobrze, moich ziomków, mieszczan paryskich, na tej fotografii, która ich przedstawia na placu przed Notre Dame, w momencie gdy świszcza kule ostatnich Niemców. Każdy z nich trzyma w jednej ręce fuzję i, kłęcząc na ziemi swej starej stolicy, syci oczy wspaniałym widokiem, jaki dane mu jest oglądać: wejściem gen. de Gaulle'a do katedry Notre Dame de Paris.

Wszystkie historyczne wydarzenia Paryża i wszystkie wielkie zwycięstwa paryskie były oczywiście obchodzone między tymi wielkimi rozetami, zdobionymi w witrażach, które wszyscy Paryżanie szcześnie uważają za jeden z cudów świata, umieszczony z łaski Opatrzności w samym sercu ich miasta.

STANISŁAW FISCHLOWITZ

I. L. O.

Plusy i minusy Konferencji Filadelfijskiej

Montreal, w lipcu 1944.

I

Trudno się temu dziwić, że zakończone w dniu 12 maja 1944 r. w filadelfijskiej Temple University obrady międzynarodowego parlamentu pracy z udziałem delegatów 41 państw skupiły na sobie uwagę szerokiej opinii świata.

Dla nikogo, kto w okresie 25 lat ostatnich śledził tak mozolne wykluwanie się nowego porządku międzynarodowego, nie jest tajemnicą, co kryje się poza tymi trzema literami: I.L.O.

Międzynarodowa Organizacja Pracy jest, jak wiadomo, organizacją międzypaństwową, powołaną do życia w chwili likwidowania pierwszej wojny światowej, dla zabezpieczenia przy pomocy szerokich reform społecznych pokoju społecznego, pokoju między klasami, tak jak powstała równocześnie Liga Narodów miała zapewnić pokój polityczny, pokój między narodami. Organizacja dąży do osiągnięcia swego celu głównie przy pomocy międzynarodowego ustawodawstwa pracy (konwencji i zaleceń), które stwarzają fundament postępu społecznego w poszczególnych krajach. Wynik prac M.O.P. stanowi nie mniej jak 67 ustaw: międzynarodowych konwencji (które wykazują względnie pomyślny, choć daleki od ideału bilans 887 ratyfikacji) i 73 zaleceń; zalecenia są aktami o charakterze mniej wiążącym, obowiązującym raczej moralnie niż prawnie. Międzynarodowe ustawodawstwo pracy objęło swym zakresem rozliczne działy ochrony pracy, ubezpieczeń społecznych i innych dziedzin pokrewnych, kształtujących na nowych podstawach stosunek pomiędzy pracą a kapitałem. Liga Narodów Woodrowa Wilsona zbankrutowała i nikt dziś nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy i co ją zastąpi. Natomiast Międzynarodowa Organizacja Pracy, choć nie spełnia wszystkich, pokładanych w niej nadziei, żyje nadal i działa. W chwili obecnej stanowi ona właściwie jedyny ustrojowy załączek przyszłej organizacji społeczeństwa narodów. M.O.P. nie była bowiem i nie jest zaskorupiałą, oderwaną od życia oficjalną unią międzynarodową, lecz wielką wspólnotą międzynarodową polityki społecznej, w której obok przedstawicieli rządów współdziałają na równych prawach przedstawiciele pracy i kapitału. Dzieje się to zarówno na Międzynarodowej Konferencji Pracy („parlamentie”), jak i w Radzie Administracyjnej („rządzie”). Organem wykonawczym jest Międzynarodowe Biuro Pracy, ministerstwo pracy w skali międzynarodowej, dawniej z siedzibą w Genewie, obecnie tymczasowo w Montrealu.

Organizacja przetrwała szczęśliwie wszelkie burze, wymięła mielizny totalitaryzmu i rafy wojny, żeglując dziś śmiało i pewnie ku portom organizacji świata powojennego.

II

Jak to już zauważył gen. Sikorski w bodaj że ostatnim swym przemówieniu, wojna obecna jest nie tylko wojną, lecz również głęboką rewolucją społeczną. Nie wchodzimy w tej chwili w to, dlaczego tak jest; wystarczy stwierdzić, że już pierwsza wojna światowa nauczyła nas tego, że wojna i rewolucja nie są w istocie rzeczy niczym innym, jak tylko dwoma stronami tego samego medalu. Wynikiem wojny 1914-1918 było powstanie nowoczesnej polityki społecznej: upowszechnienie ubezpieczeń społecznych o charakterze obowiązkowym i rozbudowa ochrony pracy najemnej. W okresie pomiędzy dwoma wojnami światowymi gospodarka kierowana doczekała się realizacji nie gdzie indziej, jak właśnie w urządzeniach polityki społecznej.

Jakież będą następstwa obecnej wojny na płaszczyźnie społecznej? Wszystko zdaje się przemawiać za tym, że nie mniejsze. Trudno nie zauważyć, że nie tylko w świetle rozbrzmiewających dziś głośno haseł, ale i wypracowanych skrzętnie programów i planów ich urzeczywistnienia człowiek pracy — jego potrzeby, warunki jego egzystencji materialnej i moralnej — mają stać się głównym przedmiotem świadomego swych celów działania państwa. Zdaje się po prostu, jak gdyby z biegiem czasu miała się zatrzeć granica pomiędzy polityką społeczną a ekonomiczną; bo również i ta ostatnia ma orientować się odtąd w duchu społecznym. Ochrona społeczna ma przytem objąć swym zakresem działania nie, jak w przeszłości, wyłącznie proletariuszy, lecz w ogóle wszystkich obywateli, bez względu na ich przynależność klasową, a już zwłaszcza jednostki gospodarczo słabsze, chociażby społecznie niezależne. Do tego prowadzi się wspólny mianownik Planu Beveridge'a, Planu Marsha (Kanada) i wielu planów północno-amerykańskich (National Resources Planning Board i Social Security Board) oraz australijskich, częściowo już nawet wprowadzonych w życie.

*) Por. artykuł Mariana Góreckiego „Międzynarodowa Organizacja Pracy”, zamieszczony w numerze 8 (26) „W Drodze” z dn. 16 kwietnia 1944 r. — Autor niniejszego artykułu był jednym z delegatów Rządu Polskiego na Konferencję Filadelfijską.

Konferencja filadelfijska, uchwalając dwa zalecenia, poświęcone zabezpieczeniu (social security), a mianowicie zabezpieczeniu dochodu i pomocy leczniczej, umiędzynarodowiła poniekąd Plan Beveridge'a.

III

W Filadelfii, gdzie 168 lat temu uchwalona została deklaracja niepodległości U.S.A., Konferencja przyjęła teraz „deklarację co do celów i zadań M.O.P.”; dokument ten przejdzie również prawdopodobnie do historii jako drogowskaz międzynarodowy postępu społecznego. Walka z nędzą ma stanowić główny cel Organizacji, bo „gdziekolwiekby ona była, zagraża zawsze dobrobytowi istniejącemu gdziekolwiek indziej”. Deklaracja oświadcza dalej, że „wszelkie istoty ludzkie bez względu na rasę, wiarę i płeć, mają prawo dążyć do postępu materialnego i rozwoju duchowego w warunkach wolności i godności, zabezpieczenia społecznego i na równych szansach”. Jest obowiązkiem Organizacji, stwierdza deklaracja, — a punkt ten należał do najgoręcej dyskutowanych na Konferencji — „badać i rozważać” pod kątem widzenia swych podstawowych zainteresowań wszelkie przejawy inicjatywy międzynarodowej polityki gospodarczej i finansowej. Naturalnie, takie postawienie sprawy nasuwa możliwość wysunięcia w przyszłości przez organizmy międzynarodowej współpracy gospodarczej postulatu analogicznego opiniowania, vice versa, inicjatyw w zakresie polityki społecznej...

Prace ściśle ustawodawcze Konferencji były z konieczności, na tle dzisiejszej sytuacji ogólnej, bardziej ograniczone. Nie uchwalila ani jednej konwencji, zato aż siedem zaleceń. Poza wyżej wymienionymi, dotyczącymi zabezpieczenia społecznego, proklamowano w formie „recommendation” kodeks pracy kolonialnej, przypisując słusznie duże znaczenie

podniesieniu zacofanych i zależnych politycznie terenów, które zresztą poczyniły pewne postępy przemysłowe w czasie wojny i których tania („nieobciążona społecznie”) produkcja mogłaby zagrażać gospodarstwu państw, zajmujących wyższe szczeble na drabinie postępu społecznego.

Konferencja Filadelfijska nie byłaby jednak spełnieniem swego zadania, gdyby była zagubiła się w planowaniu długodystansowej przyszłości, odwracając swą uwagę od zagadnień, które trzeba będzie śmiało zaatakować na przełomie między wojną a pokojem. Toteż dobrze się stało, że spróbowała ona ująć wytyczne polityki pracy, umożliwiając bezbolesne przejście na rynku pracy z gospodarki wojennej do normalnej gospodarki pokojowej, i że równocześnie wypowiedziała się za zapewnieniem należytych praw społecznych uczestnikom sił zbrojnych.

Ale to jeszcze nie wszystko. Zanim rozpocznie się odbudowa gospodarstwa świata, trzeba będzie zawrzeć po zwycięskiej wojnie zwycięski pokój. Jest to niewątpliwie zasługą Konferencji, że ustaliła szeroki program warunków społecznych przyszłego instrumentu pokoju (opracowanie tej kwestii powierzono autorowi niniejszych uwag). Społeczny ten program pokojowy, mający być jeszcze zresztą rozpracowany w szczegółach przez osobną komisję rzeczoznawców, obejmuje roszczenia z tytułu pracy na rzecz Osi blisko 12 milionów „białych niewolników” (z smutnym pierwszeństwem ilościowym Polaków: ponad 2 miliony), odszkodowania społeczne, indywidualne i zbiorowe, zagadnienia społeczne, związane z przyszłą rewizją granic, wymianą ludności i t. p.

Miejmy nadzieję, że przyszły traktat pokoju będzie pełniejszy i sprawiedliwszy od wersalskiego, że zabezpieczy należyte pierwszeństwo roszczeniom społecznym szarego,

ALEKSANDER JANTA

WIERŚCIE

SYGNAŁ W PUSTCE

Niebo pełne jest nocy — wiatr ciągnie ugięciem —
zguba w myślach się lęgnie — gdzie wolności haśło,
co poprzez czarną pustkę błysło meteorom,
zmyliło czujne oczy i w ciemnościach zgasło?

Świata, w którym się gubi kierunek i droga,
nie zbawi krew, ni skarga, dobyta z czołusci.
Kur nam zapiał potrzykroć! Znów zaparł się Boga
Piotr. Lecz Bóg go zapomniał. I już nie odpuści.

I żadnym nie przebaczy nawet przemilczenia
prawdy, choć jej królestwo nie jest z tego świata,
bo On dla niej krzyż dźwigał na Górę Cierpienia,
gdy ci umyć chcą ręce za wzorem Piłata.

TRYPTYK APO(KA)LI(P)TYCZNY

Antoniemu Słonimskiemu

Czcila Grecja urodę, co urąga włócniom,
zuchwały upór bogów, wspiętych na piedestał,
gdy on, mędrzec kosmaty, prawdę zwierzał uczniom,
niepomny groźby Aten, by nauczać przestał.

Śmiercią ciebie ukarzą, iżeś dotknął sedna
sądu, piętował głupstwo i wyśmiewał butę.
On rzekł: mój to jest tryumf. Bo wolność jest jedna.
Na jej cześć wzniesmy czarę. I wypić cykute.

PARABOLA

Znamy głos ten — tym samym zwodzą się puszczyki
i pułacz, kiedy zdradę po nocy rozgłasza;
ów głos huczał już w uszach włóchatych Judasza,
gdy ten, dobiwszy targu, przeliczał srebrniki.

Brat, wybraniec Chrystusa przed czasami Polski,
chleb z Nim łamał i mówił o zbawieniu światów,
już zdrajca, choć przybrany w swój strój apostołski,
a wydał Go, całując, w ręce przyszłych katów.

PRZYPowieść z CERVANTESA

Oto dzieje romansu, smutny los Don Kiszota.
O szaleńcze bez skazy i rycerzu bez szansy,
Świat się z ciebie natrząsa, kpi zwycięska głupota,
Dulcynea przy świniach, pusty śmiech Sanszo Pansy.

I dziś znów nas dobiega głuche echo szyderstwa,
które ciągnie śladami tamtych czynów i znaków
i już nic w nich nie widzi, prócz bezniesłownych wiatraków,
co każdą skruszą kopię twojego bohaterstwa.

zbiedniałego, niedożywionego europejczyka.

Nie jest to w każdym razie rzeczą przypadku, że pierwsza część pokoju, która narazie zarysowała się konkretniej, to właśnie jego rozdział społeczny, opracowany w Filadelfii.

IV

Konferencja nie miała łatwej pracy, wznowiając swą normalną działalność po pięcioletniej przerwie. Straciła ona pod nogami grunt, jakim był poprzednio jednolity politycznie, międzynarodowy robotniczy ruch zawodowy. Organizacja jest jeszcze daleka od powszechności. Na jej decyzjach zaważył w pewnej mierze brak w jej łonie Z. S. R. R. Syrenie nawoływanie pod jego adresem różnych dygnitarzy konferencyjnych z obozu wielkomocarstwowego minęły bez echa. Nieobecnością Z. S. R. R. uzasadniano brak decyzji Konferencji co do warunków społecznych okupacyjnego regime'u Niemiec po wojnie. Nie wynika stąd jednak bynajmniej, jakoby z opinii Moskwy liczone się w każdej sprawie. Nie udały się usiłowania unieważnienia mandatu delegatów robotniczych jugosłowiańskiego i greckiego. W wyborach do Rady, w których dochodzą do głosu państwa średnie i małe, nie tylko przedłużono mandat delegata rządu polskiego i jugosłowiańskiego, ale nawet wybrano (wbrew kontrkandydatom Kuby i Australii) — Grecję.

Stosunek do głównych zagadnień na Konferencji wielkich mocarstw, w niej uczestniczących, nie był jednolity. Stany Zjednoczone popierały wszystkie propozycje Biura; natomiast Wielka Brytania dążyła za wszelką cenę do zachowania polityki wolnej ręki, unikając wiązania się co do wytycznych przyszłej swej polityki społecznej.

Konferencja zagłowała pod flagą zwycięstwa Narodów Zjednoczonych. Fakt, że brało przy tym znowu udział w jej pracach aż 6 państw neutralnych, nie reprezentowanych na Konferencji w r. 1941, świadczył wyraźnie o wzrastającej sile atrakcyjnej frontu międzyaliantów.

Sprawa niemiecka przewijała się poprzez wszystkie decyzje Konferencji. Większość przeciwstawiała się ostro wystąpieniom „mildistów” i „appeaserów”, których i tu nie zabrakło. Z natury rzeczy najwyraźniejszym językiem przemawiał w tej sprawie blok okupowanych państw kontynentu europejskiego. Po raz pierwszy Europa doszła do głosu w formie zorganizowanej grupy jako całość. Wystąpienia bloku europejskiego, podkreślające szczególną sytuację Europy w ramach odbudowy powojennej, były bardzo na czasie, tym bardziej, że projekty Biura dostosowane były raczej do warunków w wielkich, gospodarczo najwyżej stojących państwach aliantów, pomijając niemal zupełnie zagadnienia gospodarczej i społecznej odbudowy kontynentalnej Europy. Blokowi temu przewodzili van Zeeland (Belgia), Tixier (Francja), Stańczyk (Polska), Massaryk (Czechosłowacja) i Hambro (Norwegia).

Oczywiście, prace Konferencji niejedną mogą nasunąć uwagę krytyczną. Nie zdołała ona — co jej już wytknięto ze strony czynników fachowych w prasie amerykańskiej — zająć wyraźnego stanowiska wobec zagadnień migracji po wojnie. Niektóre jej decyzje grzeszą stratosferyzmem; dalekim od rzeczywistości roku 1944. Rezolucje w sprawach gospodarczych nie wnoszą też wiele nowego, nie zbyt może różowo zapowiadając nową opiodawczą działalność Organizacji w tej sferze.

Najpoważniejszym atutem Organizacji jest jednak fakt, że skutecznie oparła się ona tendencjom ku wielkomocarstwowemu „world-leadership”. Prawda, statut Organizacji przyznaje przywileje państwom najbardziej uprzedmiotowionym. Tylko w części jednak jest to równoznaczne z pozycją kluczową polityczną. Przeciwnie na tej zasadzie zasiadają w Radzie stałe Belgia i Holandia. W każdym razie nie można było zanotować na Konferencji zamierzeń rozbudowania tych przywilejów.

Nic więc dziwnego, że w takiej atmosferze Konferencji sprawy polskie przybrały na jej terenie obrót pomyślny. Konferencja filadelfijska, traktowana jako barometr stanu spraw polskich w świecie, dawałaby obraz raczej korzystny. Przemówienia i wnioski polskie, jakkolwiek zupełnie bezcerebralnie i bez obsłonek wysuwały szczególne nasze potrzeby, wynikające tak nieodparcie z naszej szczególnej sytuacji (a może właśnie dlatego, że tak mało dyplomatyzowaliśmy na Konferencji), przyjmowane były życzliwie i dawały wyniki, odpowiadające zamierzeniom. Nigdy jeszcze Polska nie uzyskała tak pełnej reprezentacji w Radzie Administracyjnej I. L. O., we wszystkich trzech jej grupach, jak właśnie po wyborach ostatnich. Rzucała się też w oczy mocna pozycja osobista i polityczna na terenie I. L. O. min. Stańczyka, wynikająca z długoletniej jego pracy w Genewie i gdzie indziej, zwłaszcza w międzynarodowym ruchu zawodowym.

Nie wiadomo, dokąd zaprowadzi nas droga, na jaką wkroczyliśmy w Filadelfii. Ale trudno chyba o lepsze drogowskazy niż te, jakie tam przyjęto.

ZYGMUNT ZAWADOWSKI

GDAŃSK 1 WRZEŚNIA 1939 R.

Ilość ludności, zamieszkującej na terytorium W. M. Gdańska, osiągnęła w 1939 r. okragło cyfrę 450.000 osób. Wśród tej ludności było około 17.000 Polaków, posiadających obywatelstwo gdańskie, oraz około 20.000 Polaków, obywateli polskich. W ten sposób Polaków było w Gdańsku ponad 8%, mimo że statystyki wykazywały 3,9%.

Na podstawie ostatnich wyborów zdołali zjednoczyć Polacy gdańscy wprowadzić do sejmiku ludowego (Volkstag) dwu posłów, Budyńskiego i Lendzioną.

Los Polaków w Gdańsku nie był do pozazdroszczenia. Ucisk w zakresie szkolnictwa, używania języka polskiego oraz szereg szykan, mających charakter ucisku, skłaniał corocznie jednostki mniej cierpliwe i wytrwałe, a niekiedy nawet oportunistyczne, do opuszczenia Gdańska i udawania się albo do Gdyni, albo też na emigrację zamorską. Osiedlanie się Polaków w Gdańsku było praktycznie niemożliwe, podobnie jak uzyskiwanie obywatelstwa gdańskiego wobec dwuznacznego brzmienia ustawy gdańskiej o obywatelstwie z 15 marca 1932 r.

Jeśli jednak warunki egzystencji Polaków w Gdańsku w ciągu 20-lecia od 1919—1939 r. należy zakwalifikować jako bardzo ciężkie, jednak jeszcze możliwe do zniesienia, to sytuację, powstałą w 1939 r., po marcowych propozycjach rządu niemieckiego, dotyczących Gdańska, trzeba uznać było za nie do utrzymania à la longue.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że opracowany został sumiennie i skrupulatnie, przez odpowiednio dobrane czynniki niemieckie, posiadające długoletnią rutynę w tym względzie, plan zniszczenia polskości w Gdańsku i raz na zawsze wypięcia całego żywiołu polskiego, zarówno zorganizowanego, jak stojącego luźnie i niezaangażowanego w organizacje społeczne czy oświatowe. Ofensywa niemiecka poszła we wszystkich kierunkach. „Zacząto od dyktowanej przez partię narodowo-socjalistycznej akcji wymawiania mieszkań Polakom, mieszkającym w domach, stanowiących własność niemiecką, odmawiania Polakom sprzedaży artykułów pierwszej potrzeby w sklepach niemieckich, a następnie zabrano się przy pomocy policji do przenoszenia dzieci ze szkół polskich, których kilka udało się Polakom na terytorium Gdańska wywalczyć, mimo że nie znają języka niemieckiego i mimo protestów rodziców, do szkół niemieckich. Dzieci bito przy tym, a rodziców nie rzadko aresztowano za rekomy opór władzy. Co pewien czas oddziały SS, uzbrojone w karabiny ręczne i lekkie karabiny maszynowe, otaczały nocą dzielnice, w których mieszkali Polacy, rewidowały mieszkania, zabierali po kilkanaście osób do więzienia policyjnego, tam poddawali ich przesłuchaniom, przy których bicie było najczęstszym argumentem, i po kilku dniach zmaltretowanych i wyekwilowanych wypuszczali na wolność. Większe przedsiębiorstwa niemal co tygodnia zalecały wzywać robotników i urzędników, przyznających się do narodowości polskiej, do zarządów i grozić im wydaleniem ze służby, o ile nie przeniosą swych dzieci ze szkół polskich do niemieckich, względnie o ile sami nie wystąpią z organizacją polskich. W fabrykach i zakładach przemysłowych pokazały się komunikaty, zabraniające personelowi rozmów w języku polskim, a Polacy, którzy nie chcieli się temu poddać, byli, poza karami dyscyplinarnymi, ofiarami dobrze zorganizowanego a bezlitosnego samosądu współpracowników — Niemców, na inicjatywę odpowiedniej komórki partii narodowo-socjalistycznej. Wybijanie okien w szkołach polskich, domach robotniczych i mieszkaniach polskich, demolowanie bibliotek i palenie książek było zjawiskiem bardzo częstym.

Specjalny system zastosowano wobec członków polskiej straży skarbowej (celnicy), kolejarzy, policjantów portowych oraz listonoszów. Byli oni przedmiotem szykan i prześladowania władz i podburzonej hasty ulicznej przez cały czas trwania suwerenności polskiej na terytorium W. M. Gdańska. W ciągu jednak ostatnich miesięcy przed 1 września 1939 r. prześladowanie tych osób przybrało charakter zdecydowanie zwierzęcy i barbarzyński. Celników, kolejarzy i pocztowców aresztowano codziennie po kilku, wysuwając niezmiennie zarzut szpiegostwa i nie precyzując przedmiotu tego szpiegostwa. U celników szpiegostwem było wykonywanie służby kontrolnej w porcie i żądanie okazania dokumentów statków niemieckich. Nocą potajemnie przybywających do portu gdańskiego i wyładujących jakies skrzynki, lub żądanie okazania bagażu podróżnych. U kolejarzy szpiegostwem było kwestionowanie prawności pobytu na dworcach kolejowych, pozostających pod administracją polską, oddziałów SS czy SA, lub niedopuszczanie, aby pociągi pośpieszne, mające iść tranzytem bez zatrzymywania się w Gdańsku, były wbrew układowi zatrzymywane na terytorium Gdańska, a lokomotywy ich były wymieniane na stare lokomotywy ciężarowe, względnie protestowanie przeciw przetrzymywaniu przez celne władze gdańskie

opóźnionych wagonów kolejowych, które powinny były być odesłane do stacji wyjściowych w Polsce, lub też wreszcie zabieganie o skrócenie postojów pociągów z rudą szwedzką, przewożoną dla przedsiębiorstw polskiego Górnego Śląska. U listonoszy szpiegostwem nazywano doręczanie obywatelom polskim gazet polskich.

Aresztowanych nocą wołano na przesłuchanie do dyrekcji policji z cel, w których byli więzieni, i tam, po przeprowadzeniu przez salę, w której znajdowało się kilkudziesięciu członków Hitlerjugend, stwierdzających, gdzie i w jakich warunkach śledził każdego aresztanta, wprowadzano do sali, w której kilku nastu oprawców, specjalnie utrzymywanych przez policję gdańską, mężczyzn młodych i rosyjskich, niemal z reguły członków SS, biło aresztowanych pałkami gumowymi i drewnianymi, wykręcało palce i przypiekało palce u nóg. Dopiero po takim „przygotowaniu“ aresztantów do przesłuchania odbywało się w dalszym pokoju śledztwo, w czasie którego groźno aresztowanym Polakom ponowieniem poprzednich „operacji“. Liczne były też wypadki „przepadania“ Polaków, gdy aresztowany, zbyt silnie storturowany, kończył życie. Gdy szło o osoby, szczególnie znienawidzone przez czynniki gdańskie, czy z racji eksponowanego stanowiska (starsi inspektorzy celni, urzędnicy kolejowi), czy działalności narodowej, zdarzały się wypadki porwania ich z terytorium Gdańska i wywożenia do Rzeszy. W takich wypadkach, mimo protestów Rządu Polskiego, z reguły osoby wywiezione sążono na terenie Rzeszy Niemieckiej, nakładano na nie bardzo wysokie kary więzienia, motywując pobyt ich w Niemczech zjawieniem się bez dokumentów na posterunku granicznym. Były również wypadki wywabiania polskich funkcjonariuszy celnych i kolejowych przez ich znajomych spośród urzędników niemieckich na wycieczki do Rzeszy Niemieckiej, skąd już nie wracali.

Ostatnie dni sierpnia przyniosły odezwy prasy gdańskiej do poskromienia „bezczelności“ polskiej, do bicia młodzieży polskiej, żeby — jak pisano, — „popamiętała“, oraz wzmożenie liczby aresztowań i zaostrożenie warunków, w jakich odbywały się te aresztowania, i warunków, w jakich aresztowanych trzymano. Niezależnie od tego rozpoczęły się po raz pierwszy szykany w stosunku do urzędników Komisariatu Generalnego Polski w Gdańsku, korzystających na mocy obowiązujących porozumień polsko-gdańskich z przywilejów dyplomatycznych. Urzędników legitymowano w sposób brutalny i rewidowano przy przekraczaniu granicy polsko-gdańskiej.

Budynek Komisariatu Generalnego Polski obstawiony został tajnymi wywiadowcami policyjnymi, z okien znajdującego się naprzeciwko tego gmachu jednego z oddziałów Senatu W. M., cały dzień i noc obserwowali specjalnie tam ustawieni członkowie SS i SA gmach Komisariatu, pod pozorem naprawy instalacji elektrycznej na dwa dni zamknięto dopływ prądu do gmachu, rozmowy telefoniczne były z reguły podsłuchiwane, a uzyskiwanie połączeń z Polską, nawet specjalnym kablem polskim, natrafiało z powodu ciągłego psucia kabla i włączenia się podsłuchu gdańskiego na bardzo duże przeszkody.

Sytuacja wydawała się tak napięta, że korespondenci prasy zagranicznej, którzy masowo w ciągu sierpnia zjechali się do Gdańska, oraz inni cudzoziemcy, a częściowo i Polacy, zaczęli likwidować swoje sprawy w mieście. Pokazanie się dużych oddziałów wojska w mieście, bezskuteczna próba mediacji polsko-niemieckiej, podjęta przez Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, Burckhardta, zamianowanie Gauleitera Forster'a przez Senat Gdański Głową Państwa, wreszcie przybycie do Gdańska krążownika niemieckiego „Schleswig-Holstein“, odwołanie zjazdu w Tannenberg'u i dorocznego zjazdu partyjnego partii narodowo-socjalistycznej, powiększyły jeszcze istniejące napięcie. Nieuzasadniona żadnymi znanymi okolicznościami dekoracja całego miasta, podjęta w dn. 26 sierpnia 1939 r., postawienie trybuny przed ratuszem, ustawienie masztów z flagami na długości całego bulwaru przed budynkiem Senatu W. M., codzienne incydenty, wreszcie nieustannie toczące się w Senacie W. M. dzienne i nocne konferencje, — wszystko to pozwalało przypuszczać, że jakieś rozwiązanie spłotu zagadnień się zbliża.

Wieczór 31 sierpnia 1939 r. na zewnątrz nie różnił się niczym od innych wieczorów sierpnia, w tym roku niezwykle pogodnego. Pewne zwiększenie napięcia przyniósł komunikat radia niemieckiego, zawierający 16 punktów niemieckich dla Polski, lecz wszyscy oczekiwali, że następstwem tego komunikatu będzie jeszcze jakaś wymiana zdań pomiędzy Polską a Rzeszą, że mogą być podjęte przez państwa neutralne jakieś próby mediacji, wreszcie że nastąpi normalne wypowiedzenie wojny. To też spano tej nocy względnie spokojnie.

1-go września o godz. 4.45 zbudzony został Gdańsk grzmiotem huraganowego ognia ciężkiej artylerii. To krążownik „Schleswig-Holstein“ rozpoczął wojnę ostrzeliwaniem półwyspu Westerplatte.

O tej samej godzinie, przy trwającym huku armat krążownika i terkocie karabinów maszynowych obrony Westerplatte, ruszały

na miasto wyborowe oddziały Gestapo i policji, otaczając, według przygotowanego planu, wszystkie domy, zamieszkiwane przez Polaków, i aresztując ich bez wyboru i bez różnicy wieku czy stanu zdrowia. Chwymano ludzi w białiznie, bosych i, bijąc kolbami i pałkami, dołączano do grup, kierowanych w stronę więzienia policyjnego, więzienia Schiesstange oraz koszar Wiktorii. W więzieniach tych zmuszano grupy te do przejścia przez dwuszerę żołnierzy SS, którzy pałkami, kolbami karabinów i bagnetami, tłukli i kuli przechodzących w głowy, szyje, plecy, ramiona i uda. Gdy kłuci prostowali się, krzyczano im: „Eine schöne Haltung, deutsche Schule“. Po gwałtownym obiciu i zmaltretowaniu, porozdzielano aresztowanych Polaków po wszystkich więzieniach Gdańska, bijąc ich raz jeszcze przed zamknięciem do cel.

Wysoki Komisarz Ligi Narodów został w dniu 1 września o godz. 9-tej rano zmuszony przez demonstrujący motoch i Gestapo do opuszczenia Gdańska w przeciągu 20 minut. Prezydent Rady Portu, Holender Nederbracht, został internowany w domu, a później wysiedlony z Gdańska.

Równolegle z aresztowaniami, które trwały przez cały dzień 1 i 2 września 1939 r., tak że na terytorium całego Wolnego Miasta nie pozostał na wolności ani jeden człowiek, przyznający się do narodowości polskiej, przyczem szereg osób, broniących się przeciw gwałtowi, zostało po prostu zastrzelonych czy zakutych, aresztowano również, z pogwałceniem zasad prawa międzynarodowego, wszystkich, znajdujących się na terytorium Gdańska urzędników Komisariatu Generalnego Polski oraz wszystkich polskich członków i urzędników Rady Portu.

Zostali oni w ilości około 50 osób aresztowani przez policję mundurową w asyście cywilnych osób, należących do Gestapo, uzbrojonych w ręczne karabiny maszynowe. Aresztowania nastąpiły częściowo w willi, stanowiącej prywatne mieszkanie Komisarza Generalnego Polski w Gdańsku, częściowo w gmachu urzędowym Komisariatu, częściowo wreszcie w mieszkaniach prywatnych.

Osoby aresztowane w mieszkaniu Komisarza Generalnego, wśród których znajdował się też sam Komisarz Generalny, posiadający charakter i tytuł ministra pełnomocnego, oraz ja jako jego zastępca, zostali skierowane do Dyrekcji Policji i tam — po Komisarzem Generalnym, którego zamknięto w jednym z pokoiów w towarzystwie uzbrojonego funkcjonariusza Gestapo — rozmieszczeni po pojedynczych celach. W celach o rozmiarach 6 kroków długości i 1 1/2 kroku szerokości, z okienkiem pod sufitem, oszklonym szkłem nieprzeźrystym, W. C., pryczą składaną pod ścianą i stołeczkiem do siedzenia, przebywali więźniowie przez kilka dni, niewypuszczeni ani razu na przechadzkę po podwórzu więziennym. W celach tych całymi dniami i nocami wsłuchiwalimy się w swoistą muzykę więzienną, w symfonię krzyków bitych i torturowanych ludzi, terkotu puszcanych na podwórzu więziennym motorów samochodowych — mających głuścić odgłosy więzienne.

Ponieważ losy niemal wszystkich aresztowanych w Gdańsku urzędników Komisariatu Generalnego, celników i pocztowców, jak zresztą również losy szeregu innych Polaków, zbiegają się ostatecznie w tym właśnie więzieniu, kolejno chciałbym przedstawić przebieg wypadków, jeśli idzie o pozostałe grupy osób, aby na koniec powrócić do więzienia policyjnego i opisać kilka pamiętnych nocy w tym więzieniu.

Druga grupa urzędników, aresztowana w gmachu Komisariatu Generalnego, została wprowadzona na podwórze, gdzie pokazano im stos broni i amunicji, jakoby tymczasem znalezionej w budynku Komisariatu. Na zapytanie, skąd się ta broń wzięła, wskazali oni jedynie, że jest to broń pochodzenia niemieckiego, w Polsce nieużywana, oraz że gmach Komisariatu Generalnego Polski, jako eksterytorialny, żadnej obrony zbrojnej nie potrzebowwał. Na to oficer, który zadał pytanie, nie znalazł odpowiedzi, przyznając swoim milczeniem, że broń całkiem poprostu w ciągu nocy przerzucono na podwórze Komisariatu Generalnego przez mur sąsiedniego więzienia, zwanego „Schiesstange“. Aresztowanych wyprowadzono na ulicę i tam dołączono do dużej grupy Polaków, wywiezionych z mieszkań, pomiędzy którymi znajdowali się pozostali urzędnicy Komisariatu Generalnego, urzędnicy eksterytorialnej Rady Portu, urzędnicy celni, kolejarze oraz szereg osób prywatnych, jeden z dwu posłów polskich do gdańskiego Volkstagu. Całą tę grupę popędzono biegiem przez całe niemal miasto, od jednego pomieszczenia do drugiego, od jednej kasarni do drugiej a ostatecznie częściowo rozmieszczono w celach grupowych wymienionego już więzienia „Schiesstange“, częściowo zaś w celach pojedynczych więzienia policyjnego. Przerzucając aresztowanych z miejsca na miejsce, zawsze zmuszając ich do biegu, wśród wycia hałasty ulicznej i rozwyrzdzonych członków organizacji SA, SS, Hitlerjugend i Bund Deutscher Mädel, bito ich bez ustanku pałkami i kolbami po plecach i głowach i dżgano bagnetami. W przedsienu koszar Wiktorii, gdzie ich na godzinę przetrzymano, przepuszczono aresztowanych przez dwuszerę hitle-

rowców z pałkami, z którego wyszli złani krwią i pokryci ranami i sińcami. To samo powtórzyło się w przedsienu więzienia Schiesstange oraz więzienia policyjnego.

W czasie, gdy to się działo, część urzędników i funkcjonariuszy poczty polskiej w Gdańsku zabarykadowała się w gmachu poczty polskiej przy placu Heveliusa, zdecydowana bronić gmachu, kas pancernych z pieniędzmi i znakami pocztowymi oraz swego życia. Gmach ten atakowany był przez cały dzień 1-go września 1939 roku i dopiero, gdy oddziały niemieckie użyły artylerii, został przez obrońców wysadzony w powietrze. Poległo 25 osób, do niewoli dostało się 9 osób, w tym 6 kobiet, które dobito na miejscu.

Zapadła noc z 1-go na 2-go września 1939 roku. Od zachodu w okolicy Orliowa i Gdyni słychać było huk dział i terkot karabinów maszynowych, od strony Westerplatte od czasu do czasu zadzwoniła seria strzałów. Więźniowie policyjne układało się do spoczynku. Na podwórzu więziennym terkotały jeszcze samochody, z cel dawał się słyszeć zduszony jęk czy krzyk ofiary bitej bez litości.

Około godziny dwunastej rozległy się na korytarzach więziennych ciężkie kroki straży więziennej, po kolei otwierały się drzwi cel i do cel wchodziło dwóch mężczyzn, w ubraniach cywilnych, z rewolwerami w rękę i wypytywało, kto w celi siedzi, jakie miał funkcje w Gdańsku, oraz wymyślano. Raz po raz brzmiały słowa: „Sie haben diplomatische Rechte gehabt, aber jetzt sind sie ein gewöhnlicher politischer Haefling“, raz po raz padało oświadczenie o kolektywnej odpowiedzialności Polaków za wszelkie „winy“ polskie wobec Rzeszy Niemieckiej, Gdańska, czy Niemców.

O godzinie 2-iej nad ranem zaczęto wlekać ludzi z cel na przesłuchanie. Potem terkotały samochody, niezdolne jednak zagłuszyć wszystkiego. Około godz. 4-tej odstawiono z powrotem, zataczających się, ciągnących za sobą nogi, zbitych i skatowanych więźniów, nie pozwolono im kłaść się z powrotem na prycze, zmuszając do siedzenia na podłodze.

Rano zażądał jeden z przesłuchiwanym nocą więźniów, aby mu pozwolono wypowiedzieć się i przyjąć sakramenty. Był to aresztowany poseł do Volkstagu. Zezwolono na to. Zadzwonił maleńki dzwoneczek, długo trwała ostatnia rozmowa człowieka, który stracił nadzieję życia, z księdzem.

Wieczorem odezwały się syreny alarmu lotniczego. Głos ostry w jednej z cel nakazał dwu więźniom wzajemnie się objąć kijem, aby zrozumieli, że Niemcy nie boją się polskich ataków lotniczych. — Jednak ani jedna bomba polska nie padła na miasto Gdańsk, choć tyle ust biegało szeptem, aby spaść ich tysiące, a pierwsze na to ponure, ogromne więzienie.

Późnym wieczorem czujne ucho więźnia słyszeć mogło rozmowy dozorczyń w korytarzach o zamierzonych „operacjach“, które mają być dokonane na niektórych więźniach w nocy, o przygotowaniach do wyrwania języka, wykłucia oczu i ucięcia uszu i nosa, o przypiekaniu więźniów zwitkami papieru i o wysyłaniu okaleczonych w głąb Niemiec. Około 11-iej w nocy przybyły samochody na podwórze więzienne, odkrywano ich maski, terkotały próbowane motory z otwartymi tłumikami, stukały beczki na wozie, zaprzężonym w konie, krążącym po podwórzu. Białymi plamami przebiegło po suficie celi światło, rzucając reflektorem samochodowym z podwórza i odpowiedź, daną na to z kurytarza więziennego gaszeniem i zaświecaniem żarówki. Nie-samowitym echem zaszeleścił papier, cięty w paski na kurytarzu i skręcany w zwitki, zapluskawsza woda toczona do wanny na kąpiel, czy na umycie trupów.

O północy ożwał się w zamkach szereg cel sześć kluczy, lecz nikt nie wszedł.

Po chwili do celi, w której siedział polski poseł do Volkstagu, wszedł dwu ludzi i zabrzmięła rozmowa: „Was wollen Sie von mir?“ — „Du hast zu viel geredet, du wirst nicht mehr reden. — Zunge heraus!“ — Jęk człowieka. Potem krótkie — „Fertig!“ — a motory pod oknami zahuczały i zgłuzyły wszystko.

Potem rozgorzała walka więźnia w celi sąsiedniej z dwu czarnymi zwierzętami z SS — jeszcze chwila, a więzień stracił możliwość obrony, zduszony i skatowany, naraz zaczęły syreny alarmu lotniczego i wszystko nagle zostało przerwane. Ale i tym razem ani jedna bomba polska nie spadła. Nastąpiły długie godziny alarmu lotniczego i czekania, że alarm skończy się przed rankiem, a zacznie się „operacja“, przed którą nie ma gdzie się schronić i nie ma gdzie uciec. Więzień sąsiad noc całą cicho jęczał.

Wreszcie znów poranek. Trzeci września 1939 r. Nerwy napięte mogą spocząć trochę.

Głos ostry w sąsiedztwie nakazał wyprowadzić więźnia, który spowiadał się i którego w nocy „zoperowano“.

Popołudniu wezwano kilkunastu więźniów, urzędników Komisariatu Generalnego, posiadających prawa dyplomatyczne, do sali konferencyjnej dyrekcji policji, i tam oświadczył im przedstawiciel Auswaertiges Amt, że będą wymienieni na dyplomatów niemieckich, znajdujących się w Polsce, i że w tym celu następnego dnia rano udadzą się na granicę li-

(Dokończenie na str. 10)

*) Fragment większej całości p. t. „Wojna zaczęła się w Gdańsku“. Autor był w chwili wybuchu wojny zastępcą Komisarza Generalnego R.P. w Gdańsku.

JERZY MINDER

FIRST LOOK ON ENGLAND

First look on England

— Come on! — zawołał mój czarny znajomy z Zanzibaru, z którym zapoznałem się na statku; bardzo miły i kulturalny jegomość: skończył studia prawnicze w Londynie, a zna dobrze Anglię, dokąd jedzie któryś raz, a w czasie obecnej wojny po raz drugi, tylko że pierwszą podróż miał nie tak komfortową i bardzo musiał okrażać na północ. — Have your first look on England?

— Well! — odpowiedziałem mu, wychodząc na pokład — I can't see anything!

— That's right! you should see nothing. Don't forget you are now in fog's country — i poczęstowałem mnie widokiem o „paskudnym” klimacie tego kraju, usiłując oziębic moje gorące zadowolenie z przyjazdu.

Właściwie to rzeczywiście był przejmujący, wilgotny chłód, przenikający wiatr i dżdżysta mgła — tak, nie było widać nic, dlatego miało się wiedzieć, że się jest w Anglii! Zanzibarczyk nabrął różnych, czerwonych i sinych kolorów z zimna i tęsknił za gorącym słońcem swego kraju. Zapytałem go, co by powiedział na jakieś 40 stopni poniżej zera, na co odpowiedział, że nic, boby umarł. Rozśmieszono mnie to, ale sam marzęm dobrze, zwłaszcza, że jeszcze 2 tygodnie temu chodząc po Kairze bez marynarki i porządnie się pociełem. Zanzibarczyk zazdrościł mi kożucha, w którym jechałem i który błogosławiłem od chwili wyjścia na Atlantyk. Wreszcie po takiej klimatycznej rozmowie poszliśmy się zagrać do salonu, a kiedy wróciliśmy mgła znikła i ukazał się Liverpool.

Na brzegu stały śmieszne, małe, dwupiętrowe domki ze spiczastymi dachami, kubek w kubek podobne do siebie. Te same wejścia, te same sześciokątne okienka z pomalowanymi okiennicami, jak w chatce czarownicy z „Jasie i Małgosi”, te same zwirowane ścieżki do furtek w ogrodzeniach, te same ogródki z nagimi, czarnymi drzewkami, te same dymy z tych samych kominów. Dokładnie jak w jakimś holenderskim zabawce-miasteczku, tylko że bez wiatraków i że nawet ze statku widział się sadzę i kopiec na ścianach. Niczego mi to nie przypominało z naszych miast, nie mówię już o miastach Wschodu. Znajoma bardzo to za była gotycka wieża kościoła. Po prostu przyjemnie się było na nią patrzeć. W ogóle zresztą przyjemny widział mi się ten widok, bo ładny był i miły i nie wschodni nareszcie. Domki dosyć kolorowe, ale nie jaskrawe: zielone dachy, okiennice i drzwi, czerwone cegła i kremowy tynk — wszystko przyćmione brudem. W każdym razie nie-egzotyczne, co mnie najbardziej cieszyło.

Zanzibarczyk hamował moje zachwyty, że ciemno, że brudne, że stare, że zaniedbane, że ściany cienkie jak z papieru, że zimne, nieopalone i t. d. i straszyl mnie widokiem samego miasta, bo to była jakaś robotnicza dzielnicą, gdzie miało być jeszcze możliwe. Byłem bardzo ciekaw.

WOJNA ZACZĘŁA SIĘ W GDAŃSKU

(Dokończenie ze str. 9)

tewską. Jeden z więźniów zapytał, czy nie będzie zatem już bity, na co polecono zbadać jego obrażenia, rany od uderzeń pałką i klucia bagnetem, a skontaktowawszy, że rany te niekoniecznie muszą pochodzić od tego rodzaju obrażeń, oświadczone, że będzie przeprowadzone ostre śledztwo w celu stwierdzenia, czy zarzuty postawione są słuszne, przy czym poszkodowany, rzecz oczywista, będzie musiał pozostać w Gdańsku do końca śledztwa. Gdy więzień zdeklarował, że w Gdańsku nie ma ochoty dalej pozostawać, zmuszono go do podpisania zeznania, że w czasie tumultu, jaki powstał przy jego aresztowaniu, uległ pewnym nieznacznym obrażeniom i że do sprawy tej nie zamierza powracać.

Po kilku dniach, skierowano do granicy litewskiej pod silną eskortą autobus, wiozący kilkunastu urzędników Komisariatu Generalnego Polski w Gdańsku i Rady Portu oraz naczelnego polskiego inspektora celnego w Gdańsku. W kilka dni później w tę samą stronę skierowano jeszcze kilkudziesięciu urzędników Komisariatu Generalnego i Rady Portu. Celnicy i kilkudziesięcio-tysięczna grupa Polaków gdańskich musiała zostać w Gdańsku — nie było ich za kogo wymienić, wobec postępującej niemieckiej ofensywy w Polsce.

Ciała przybyłych na Litwę pokryte były sińcami i ranami od bicia i deptania po nich. Nie mogli się wyprostować, pobici po plecach kolbami i pokuci bagnetami. Jeden miał na głowie 27 ran ciętych od pałki drewnianej; piaszcz, w którym go aresztowano, a który zabrał ze sobą, wyglądał jak strup krwi. Inny miał naruszoną szczękę od uderzeń pięścią w więzieniu, inny wreszcie nosił, jak order, duży siniak od uderzenia rewolwerem na skroni... Wszyscy byli zgnębieni i zmęczeni, ale gdy pomówiłem z nimi, zrozumiałem, że barbarzyńca może się pienieć i wściekać, może torturować i mordować niewinnych, może gwałcić prawa międzynarodowe i łamać ciało narodu — ale ducha narodu nie potrafi nigdy złamać... Przypomniała mi się piosenka alzacka, słyszana w latach dziecinnych: „Vous avez pris l'Alsace et la Lorraine, mais notre coeur vous ne l'aurez jamais”.

Zygmunt Zawadowski

Liverpool

Takich formalności celnych jeszcze nigdzie nie widziałem! Zapytano mnie, co mam do oclenia. Miałem coś 50 sztuk papierosów więcej, niż wolno było, i to zadeklarowałem. Okazało się bez znaczenia. Celnik poprosił, żeby mu otworzyć jedną z 9 walizek całego towarzystwa. Popatrzyli, nawet się nie schylając, 'począł resztę walizek i podziękował, że w porządku. Później przystąpił inny pan w meloniku, przedstawił się, że jest cenzorem, i przeprosił, że się pyta o papiery lub listy. Kiedy stwierdził, że wiozę wszystko opieczętowane przez cenzurę angielską w Palestynie, podziękował i poinformował mnie, jak mam telegrafować, jeżeli bym chciał zawiadomić kogoś o przyjeździe. Potem przyszedł znów inny pan w meloniku i zapytał, czy skończyłem już formalności, a na potwierdzenie podziękował i przedstawił się, że jest przewodnikiem Cook'a i że zajmie się dostarczeniem mnie z rzeczami na dworzec, skąd już sobie dalej sam pojedzie. I od razu wszystko zostało zrobione.

Siadłem na górze piętrowego autobusu, żeby lepiej widzieć miasto.

Ciągle się lękałem, że zderzymy się z pojazdami, jadącymi z przeciwnika. Wiedziałem przecież, że w Anglii ruch kieruje się lewą stroną, mimo to wrażenie było strasznie głupie. Poza tym lekką nowością były konie, olbrzymie, tegie, ciężkie, owłosione, potężne perszerony, i mimowoli wypatrywałem osiołków. Dziwiło mnie też, że po ulicy chodzą sami Europejczycy. Złapałem się na tych dziecięcych głupich wrażeniach (zresztą nie pierwszy raz mi się to zdarza — np. przyjeżdżając do Palestyny, omijałem spotykanych policjantów) i przestałem porównywać.

Na krótkiej przestrzni z portu na dworzec zdołałem zauważyć duże zniszczenie: okopcone, szczerbate resztki, porwane i powyginane żelazne belki, woda stojąca wśród murów, tablice z napisem „Danger”, świeżo wystawione ścianki, odgradzające ruiny i zgłiszcz, straszne mury domów, wytrzebionych wewnątrz... „Blitz!” Wszystkie gruzi już uprzątnięte, przy niektórych pracowali jeszcze robotnicy. Nie był to przyjemny widok, ale nikt na niego nie zwracał uwagi prócz nas, nowoprzybyłych. Wyobrażam sobie przykre uczucia tych, którzy tego nie przechodzili, a wracali teraz do domów. I ilościowo i proporcjonalnie nie ma tego dużo, tylko nieprzyzwyczajenie potęguje wrażenie.

Zniszczenie wpada w oczy tylko w pierwszych chwilach, później obraz się zaciera w zestawieniu z bardzo poza tym niewojennym chyba wyglądem miasta. „Niewojenny” (nie wiem wprowadzić, jak Liverpool przedstawiał się w normalnych warunkach), t. zn., że wystawy sklepowe są pełne, że ludzie chodzą porządnie ubrani, że nie samych wojskowych, a właśnie dużo cywilów się widzi...

Opowiadano mi cuda o Anglii, że niczego tu nie można dostać, więc z początku obrałem się za każdego sklepem z ubraniami czy żywnością. Te strachy okazały się tyle samo warte, co opowiadania o niebezpieczeństwie samej podróży. Istnieje coś ze 20 gatunków chleba od całkiem białego i to nie na punkty; przydział cukru dwa razy większy niż w Palestynie, mydło „Lux” i pasta „Kolynos” w każdym sklepie i t. d. Żeby nie wpaść w przesadę: są racje, i to wcale surowe, z pewnymi rzeczami są trudności, ale wszystko można dostać. Po prostu systemem punktowym zmuszono ludzi do ograniczenia się i dzięki temu, że restrykcje wprowadzono w odpowiedniej chwili, towar nie zniknął. Zniknął tylko luksus. Oczywiście i ceny poszły w górę, ale nie ma najmniejszego porównania np. z Palestyną (może tylko że płace nie podniosły się proporcjonalnie i jest to duża bolączka). W każdym razie z pierwszych doświadczeń wynikało, że funt ma tu inną wartość i że szyling coś znaczy i że można za niego coś dostać.

Okazało się, że mój optymizm wytrzymał próbę i słuszne było zaufanie do umiejętnej organizacji Anglików. Jeżeli już mówię o organizacji, to uderza po prostu ilość napisów, wskazujących, dokąd się idzie, której strony trzeba się trzymać i w którą najpierw popatrzyć przechodząc ulicę — po prostu wspinała. Toteż bez żadnych trudności zasiadłem w przedziale pociągu do Londynu i paląc nieracjonalnie i dostępnego w każdej ilości „Players'a” czekałem, aż ruszymy, co nastąpiło punktualnie.

Z okna wagonu

Ciekawie układała się krajobraz.

Pociąg szedł przez „country”, czyli wiejską okolicę. To, co widziałem, wsi nie przypominało. Przede wszystkim było murowane. Dalej, miało wypielegnowany wygląd, który świadczył o zamożności. Poza tym przyroda miała charakter, powiedziałabym, „zorganizowany”, a nie dziki. Nie wyglądało to nawet na miasteczko, tylko na np. osiedla na przedmieściach dużego miasta. Nam, przyzwyczajonym do wsi typu „malowniczego”: z miedzami, piaszczystymi, zakurczonymi drogami, stadem gęsi na bajorach, chatami ze słomianą strzechą i innymi rekwizytami, które nadewały „charakter”, a właściwie świadczyły o zacołaniu i ubóstwie, dziwne wydają się te wsie, do których prowadzą asfaltowe drogi,

wsie, przez które każda rzeczka płynnie uregulowana i które składają się nie z chałup, tylko z budynków i t. p. Sądząc z ilości owiec na pastwiskach, czy ogrodów, gospodarka ma tu charakter mniej zbożowy, a raczej warzywno-czo-hodowlany.

Widok całkiem jednostajny. Nie ma przeskoków z lasu w zagony, z pól we wzgórza. Płasko na ogół, regularne pola dokładnie pograżane (przeważnie drutem), mało drzew, mało rzek, mało roli, dużo pastwisk, dużo inspektów, wszystkie domki prawie że jednakowe. Wydawało mi się, że pociąg nie jedzie od stacji do stacji, tylko przez jedną, wielką, ciągnącą się kilometrami miejscowość. Nie było przerw niezaludnionych, wszędzie byli ludzie i domy, wszędzie ktoś mieszkał. Miejscowości nie kończyły się na kilku ulicach, tylko przechodziły jedna w drugą; domy nie stały koło siebie, ale w odstępach — każdy dla siebie. Wszystko wypielegnowane, dobrze, starannie utrzymane.

Znów wydawało mi się tu trochę dziwnie: że zieleni błada, że drzewa nagie i jakby martwe, że dachy spiczaste... Wszystko inne, niż to, do czego przywykliśmy się podczas pobytu na Wschodzie. A podczas całej, krótkiej, bo 4-godzinnej podróży ciągle słyszało się ludźmi widzący samoloty i samoloty.

Tak dojechałem do Londynu, który zapowiedziały balony zaporowe w powietrzu.

Trochę luźnych uwag

Jestem tu ledwie jakichś sześć tygodni, a pewne rzeczy tak mi się rzucają w oczy, że chyba należy je uznać za charakterystyczne i typowe.

Najczęściej używanym słowem jest „Thank you”. Po prostu nie ma sposobności, przy której nie można by go powiedzieć. Na „Thank you” odpowiada się również tym samym „Thank you”, co jeszcze zwiększa ich ilość. Weźmy przykład: zatrzymuję taksówkę i podaję szoferowi adres. Szofer dziękuje, ja też. Podjeżdża, staje i otwiera drzwi z podziękowaniem, na które odpowiadam tak samo. Płacę, co powoduje nowe „Thank you”, szofera i „Thank you” moje. W autobusie podobnie: konduktor sprzedaje bilety wołając „Thank you”, przyjmuje pieniądze za turę i za nie znowu dziękuje, na co trzeba odpowiedzieć, a jeżeli zapytać o drogę, albo poprosić, żeby wysadzić przy jakiejś ulicy, to dojdą jeszcze dwa „Thank you”. Nie ma rzeczy, za którą nie potrafiliby podziękować.

Szkoda, że ksiądz biskup Krasicki nie żył w naszych czasach i nie przyjechał do Anglii. Miałem tu z początku dużo do czynienia z urzędami: meldunki, rejestracje, książeczki żywnościowe, szereg formalności dla obywateli — normalne rzeczy w czasie wojny, których tu zresztą dawniej nie było. Otóż ta tabakiera jest dla nosa. Charakterystyczne jest już pierwsze pytanie urzędnika czy na policji, czy w biurze wydającym dowody osobiste, czy w „Food Office”: „May I help you?” — „Czy mogę Panu pomóc?” Albo: „What can I do for you?” — „Co mogę dla pana zrobić?” I rzeczywiście: urzędowanie nie polega na „amcieniu” za biurkiem i „papierkach”, tylko faktycznie stara się pomóc i urzędnik wspólnie z petentem cierpliwie i uprzejmie (jak cierpliwie i uprzejmie, po prostu chciałoby się chodzić po urzędach) rozwiązuje rozmaite zagadnienia, starając się rzetelnie o jak najbardziej dogodnie i wygodne wyjście, raczej sobie sprawiając kłopot, niż stroniąc. Poza tym uważa się tu, że pocztą istnieje w celu posługiwania się nią i wiele rzeczy można załatwić listownie, zresztą nie narażając się na jakieś „odłężenie” pisma. Weźmy przykład: pewien pan komunikował się ze swym bratem znajdującym się w obozie jeńców. Pewnego razu otrzymał od brata specjalne formularze, które trzeba było wypełnić obustronnie. Formularz przez pomyłkę wrócił do niego. Ponieważ zdarzyło się to jeszcze raz, pan ten napisał do głównego pocztmistrza, żaląc się, że mu przedłuża komunikowanie się z bratem. Na to przyszedł szalony list z przeprosinami na pocztku i końcu, że brak kwalifikowanych sił z powodu wojny i t. d., z zawiadomieniem, że wysłano odpowiedni okólnik do rejonowego urzędu pocztowego, i że zwróceniem uwagi, że istnieje szybszy sposób komunikowania się, który dokładnie objaśniono. O tego czasu, formularze, które przychodzą, są znacząco czystym okólnikiem: na stronie adresata — „to”, na stronie nadawcy — „from”. Oto sposób!

Drugim pod względem częstości używania słowem jest „Sorry”! Nie znaczy ono to samo, co „przepraszam”. Oznacza: „Przykro mi”. Przykro może być, jeżeli kogoś się traci na ulicy, równie przykro może być, jeżeli się musi przepychać do tramwaju, czy jeżeli w sklepie nie mażądanego towaru na przykład. Każdy, wyrażający taką przykrość, uśmiecha się. Każdy, do kogo zwraca się ze słowem „Sorry”, odpowie: „It's all right!” — „wszystko w porządku!”

Trzeba przyznać, że bardzo miłe są takie rozmaite przejawy. Ich zewnętrzność weszła w wewnętrzność i stała się odruchem. A tego rodzaju uprzejme odruchy bardzo ułatwiają życie. Zresztą w ogóle dba się o ułatwienie życia i umie się to robić.

Pośród książek

„The Mermaid and the Messerschmitt” Rulka Langer, New York, Roy Slavonic Publications, 1942 str. 372.

„Pearl Buck calls this book the Polish Mrs. Minniver; I think it is better than that”. (Lewis Gannet. „New York Herald Tribune”). Ten napis umieścili wydawcy na okładce książki pani Langer.

Jest to pamiętnik, napisany w formie powieści, z przeżyć autorki, jej matki, dwojga krewnych i przyjaciół, podczas oblężenia Warszawy. Porównanie z Mrs. Minniver jest niewątpliwie trafne, choć z punktu widzenia wartości literackiej nie jest to koniecznie kompletem. Istnieje niewątpliwa analogia środowiska, w jakim obie opowieści się rozgrywają. Środowiska równie nie-miarodajnego dla życia w Anglii, jak dla życia w Polsce. Tak jak dworek angielski przestał (oprócz w imaginacji amerykańskich producentów filmowych i panienek sklepowych) być symbolem Anglii, tak dworek szlachecki czy owa snobująca się warstwa zarządzającej szlachty nie jest symbolem Polski. To też oblężenie Warszawy, widziane przez pryzmat tych przebrzmiałych zapamiętań i przesądów, wypada bardzo jednostronnie i bardzo płytko.

Wartość literacka książki jest istotnie na poziomie Mrs. Minniver. Jest to książka pisana dobrze, lekko i łatwo. Bez balastu filozofii czy ideologii. Jest typowym przykładem popularnej literatury. Literatury, która bierze masy sentymentalizmem (leżką), nieskomplikowaną psychologią, interesującą akcją. Książki tego typu są częste w Anglii i Ameryce, gdzie znajdują olbrzymi rynek już czytającej, ale jeszcze nie „high-brow” publiczności.

Najlepszym osiągnięciem propagandowym Polski był film p. t. „Dangerous Moonlight”, za który ani oficjalna, ani nieoficjalna polska propaganda nie jest odpowiedzialna. Temat nie był dość „poważny”, t. zn. dość nudny i napchany oficjalną ideologią czy doktryną (oficjalny nie znaczy koniecznie rządowy). To samo przydarzyło się prawdopodobnie książce pani Langer. Czyta się ją zbyt łatwo. Mogłaby się podobać milionom angielskich midnetek, drobnych urzędników, żołnierzy i t. p., ale 150 czytelników James Joyce'a kręciłoby nosami, nie mówiąc o tym, że prawdopodobnie pan dyrektor X. powiedziałby do pana referenta Y., że „jest poniżej poziomu”.

Pragnę być dobrze zrozumiany. Nie staje w obronie jakichś specjalnych wartości tej książki. Uważam tylko, że taka jaka jest, wraz z wszystkimi błędami prześwi i założeniami, mogła być dobrze wyzyskana propagandowo. Niestety, wyzyskana nie była.

J. F. Horrabin, „An Atlas of Post-War Problems”, Londyn, Str. 44 — 2. Penguin Books, 1943.

Nowy atlas Horrabin, jeden z wielu popularnych atlasów tego autora, postawił sobie bardzo ambitne zadanie: ilustrację kartograficzną problemów powojennych. Zadanie to okazało się jednak ponad miarę. Miarę p. Horrabin lub miarę kartografii.

J. F. Horrabin jest z zapamiętań lewicowcem. Nadaje to jego myśli pewną tendencję i zabarwia ją całym szeregiem sloganów. W książce czy w artykule slogan gubi się w tłoku słów, rzucony jednak na tło mapy czy rysunku opowiada całość natrętną krzykliwością. Wyczuła to reklama handlowa i tę krzykliwość sloganu, wyrażonego rysunkiem, eksploatuje bardzo skutecznie. Graficzna metoda eksploatacji sloganu jest jednak bardziej niebezpieczna w statystyce czy kartografii. Tym niebezpieczniejsza, im rysownik jest inteligentniejszy i im żywszą ma wyobraźnię.

To właśnie przydarzyło się p. Horrabinowi w jego ostatniej książce. Przejął się zbyt rozróżnieniami sloganami politycznymi, jak n. p. vansittartizm, prawa mniejszości, Traktat wersalski, materializm historyczny, teoria rasowa i t. d. Slogany te, które w publicystyce trzeba obudować logicznym dowodem i które wówczas mają swą wagę i znaczenie, stają się w rysunku nieznosnie naiwną symplifikacją.

Rzuca się to w oczy od razu w pierwszej mapie p. t. „The changing map of Europe”. Mapa ta maluje krzyczącą czerwienią terytoria europejskie, które zmieniły swą przynależność państwową w pierwszym 25-cioleciu XX wieku. Horrabin pisze w tekście: „Jest powszechnym mniemaniem, że mapa polityczna Europy jest w głównych zarysach bardzo dawno ustalona”. Sugeruje tym samym, że to „powszechne mniemanie” jest błędne, skonfrontowane z rozległym pasem czerwieni, ciągnącym się na mapie od północy poprzez Finlandię, państwa bałtyckie, Polskę, Czechy, Węgry aż po Jugosławie. Slogan o niestałości politycznej państw Europy wschodniej jest w rysunku wyraźnym fałszerstwem. Z mapy tej bowiem wynika, że np. Niemcy — twór państwowy, powstały w 1870 roku a jako idea niewiele wcześniej (Fichtego „Reden an das deutsche Volk” były bodaj pierwszym poważnym sformulowaniem idei państwowej Niemiec), były państwem starszym od Polski, Czech czy Węgier.

Na mapie piątej znowu symplifikacja. Ludzie nie mogą żyć samymi ideami, mówi Horrabin, „organizacja gospodarcza jest także konieczna”. Slogan ten obudował Marx setkami tysięcy słów. Na mapie rzecz wygląda tak, że Czechosłowacja nie miała prawa do życia, bo system kolejowy byłby monarchii austro-węgierskiej „promieniował z dwu stolic: Wiednia i Budapesztu” i Czechy były przez to upośledzone gospodarczo.

Mapa ósma, mniejszospiciowa, także wprowadza w błąd. Wywołuje wrażenie jak gdyby „korytarz” gdański i Sudety były zamieszkałe wyłącznie przez Niemców, Wilno — wyłącznie przez Litwinów, południowo-wschodnie województwa Polski — wyłącznie przez Ukraińców, Siedmiogród — wyłącznie przez Węgrów i t. d.

Książka Horrabin spotkała się już w prasie z ostrą reakcją. Anglijski są bardzo czujni na wszelkie objawy nieskrupulatnej propagandy, zwłaszcza jeśli jest ona skuteczna. Ponieważ jednak sugestijność sloganu, udrapowanego w szaty naukowej ścisłości, jest bardzo groźna, do brzozy było, gdyby i ze strony polskiej można było sprostować przynajmniej te mapy, które nasze sprawy pokazują w fałszywym świetle.

hsd.

OPINIE ANGIELSKIE

Dwie debaty w Izbie Gmin

Tydzień od 10 do 15 lipca był bardzo burzliwy w Izbie Gmin. Drugie czytanie ustawy o planowaniu miast i wsi oraz debata nad sytuacją węglową to są dwa tematy, które specjalnie roznamiętniają Anglików, ilekroć na ten temat się mówi.

Podkreślałem już niejednokrotnie na tym miejscu ważność, jaką Anglicy przypisują sprawom gospodarczym i społecznym w hierarchii spraw politycznych. Polityka personalna, polityka zagraniczna, nawet polityka dominialna czy kolonialna nie doprowadzają do takiego wrzenia namiętności, jak sprawy ubezpieczeń społecznych, planowania miast i wsi, walka z bezrobociem lub swoisty problem węglowy. Polacy nie zawsze doceniają te sprawy. Wydaje się nam, zapatrzonym w największą bolączkę naszej polityki — sprawy zagraniczne — że „tamte” sprawy są mało ważne, nie do porównania z bolesną tragicznością naszej międzynarodowej sytuacji.

Kontrowersja wokół „Town and Country Planning Act” polega na różnicy zdań między socjalistyczną lewicą, domagającą się jak najszerszego upaństwowienia ziemi koniecznej do planowej rozbudowy i odbudowy, a konserwatywną prawicą, która broni status quo. Szereg komisji rządowych zajmowało się tą sprawą. Najgłośniejsze z nich to: komisje Scotta, Barlowa i Uthwatta. Raport Scotta (*The Report of the Committee on Land Utilization in Rural Areas*) proponuje utworzenie stałych organizacji regionalnych architektów, których zadaniem byłoby czuwanie nad właściwym i harmonijnym rozwiązaniem problemów, związanych z planowaniem okręgów wiejskich. Raport Barlowa (*Report of the Royal Commission on the Industrial Population*) także zaleca utworzenie centralnej władzy, której celem byłoby planowanie przebudowy zbyt gęsto zabudowanych okręgów miejskich, decentralizacja i rozproszenie zarówno samych fabryk, jak i ludności robotniczej z tych okręgów, planowanie równomiernie rozmieszczenia przemysłu na całym obszarze Anglii, kontrola i unifikacja regionalnych projektów przebudowy i t. d. Raport Uthwatta (*The Expert Committee on Compensation and Betterment*) również zaleca utworzenie centralnego urzędu planowania, który miałby prawo wstrzymania wszelkich robót, zagrażających ogólnemu planowi. Nie wolno byłoby właścicielom budować na własnym gruncie bez zezwolenia, nie wolno dokonywać zmian w użytkowaniu gruntów i t. d.

Powysze trzy raporty, idące w swej implikacji raczej po myśli lewicy, spotykały się z dużym oporem partii konserwatywnej. Ponieważ Anglia ma obecnie rząd koalicyjny, a w ogóle zamilowanie do kompromisu, ustawa, obecnie wniesiona, dość daleko odbiegła od zaleceń powyższych trzech komisji. Wywołało to poważne trudności w Izbie Gmin. Labour Party ostro atakowała ustawę i tylko dzięki naciskowi władz partyjnych nie doszło raz jeszcze do buntu. Labour Party — z wyjątkiem jednego posła, Ivor Thomasa, który głosował „za” — powstrzymała się od głosowania. Ustawa więc przeszła głosami konserwatystów, jednak, w myśl niepisanej tradycji, czekała się niewątpliwie poważnych zmian na komisji w trzecim czytaniu.

Sprawa węgla jest bardziej swoistą i specyficzną angielską. U podstawy jej leży poważne niezadowolenie górników ze stosunków, panujących przed wojną, kiedy to egoistyczna i krótkowzroczna polityka właścicieli kopalń sprawiła, że górnictwo było „pariasem” zawodów w Anglii. Nędza i nagminnie panujące bezrobocie sprawiły, że bardzo wielu górników przeszło wówczas do przemysłu i do innych zawodów. Nawet w pierwszych miesiącach wojny odpływ z górnictwa był bardzo poważny. Nadto wielu doświadczonych górników poszło do wojska. Obecnie, gdy przemysł angielski pracuje pełną parą, okazuje się, że górników jest za mało, aby utrzymać produkcję węgla na wystarczającym poziomie. Nadto wspomnienie doznanych krzywd odbija się dzisiaj na nieustępliwości górników, którzy strajkują zbyt często jak na okres wojenny.

Kryzys węglowy, przez to wywołany, grozi poważnym brakiem węgla na zimę, ale kontrowersja wywołana tym kryzysem, nie tyle troszczy się o to, jak temu brakowi zapobiec, ile gra na zasiedziały antagonizmach, żalach, oskarżeniach. Debatą w Izbie Gmin najlepiej obrazuje ten stan rzeczy. Ani powyższa debata, ani głosowanie w drugim czytaniu ustawy o planowaniu miast i wsi nie przesądziły sprawy. Mimo to są one ważne dla obserwatorów angielskiej sceny politycznej, jako przykład demokracji w działaniu.

Stulecie spółdzielczości

Sto lat temu, w r. 1844, założono w Rochdale w Lancashire pierwszą spółdzielnię spożywców. Od tego czasu idea spółdzielczości chwyciła jak ogień i rozprzestrzeniła się po całym świecie, a nie najmnijesz jej rozwój nastąpił w Anglii.

Jest bardzo charakterystyczne dla angielskiej umysłowości, że najbardziej interesują Anglików idee, które najłatwiej wyrazić precyzyjnie funtów, szylingów i pensów. Praktyczność angielska lubi bardziej konkretny miernik niż idealistyczne impoderabilia.

W czasach rewolucji przemysłowej, gdy oblicze Anglii zmieniało się w sposób szybki i zdecydowany, wydawało się ludziom, że najbardziej demokratyczną formą rozwoju przemysłowego czy handlowego jest spółka akcyjna. I trzeba było zaiste wielkiej wnikliwości i wielkiej intuicji, aby już wówczas przewidzieć te wszystkie tricki, — holdingi, kontrole akcji, mianowanie dyrektorów i t. d. —, które z współczesnej spółki akcyjnej uczyniły dyktaturę finansową równie bezwzględna i kto wie, czy nie równie potężna, jak dyktatura polityczna. Tym większy podziw dla przewidujących pionierów rochdalejskich.

Różnica między spółdzielczością a spółką akcyjną jest głęboka i zasadnicza. Spółka akcyjna dzieli zyski zależnie od inwestowanego kapitału i kontroluje przedsiębiorstwo większością akcji. Spółdzielnie są kontrolowane przez członków, z których każdy — niezależnie od wysokości udziału — ma jeden głos, a zyski idą w kierunku odwrotnym niż w przedsiębiorstwie prywatnym.

Kapitał inwestowany nie zbiera zysków (ustawowo wysokość udziału w spółdzielni nie może przekraczać 200 funtów), ale są one wypłacane kupującym zależnie od ilości dokonywanych przez członka zakupów.

Pierwszy milion spółdzielców zarejestrowano w Anglii w r. 1891, drugi milion w r. 1903, następnie w latach 1914, 1919, 1926, 1934, 1937, a stulecie spółdzielczości przyniosło cyfrę dziewięciu milionów spółdzielców. Równie znaczne są cyfry procentowego udziału spółdzielni w handlu angielskim. W rękach spółdzielni jest 32% handlu mlekiem i nabiałem, 20% handlu korzennej, konserw, chleba i słodczy, 20% handlu węglem i t. d.

Pragnę zwrócić uwagę przy tej sposobności na bardzo pożyteczną broszurę p.t. „Spółdzielczość w Polsce”, której autorem jest spółdzielca, ukrywający się pod inicjałami A.R. Dobrze się stało, że duży rozwój spółdzielczości w Polsce i szerokie rozpowszechnienie tej idei zostały w ten sposób przypominane. Broszura (wydana nakładem Ministerstwa Przemysłu, Handlu i Żegluga) domoże niewątpliwie bardziej do rozwiania legendy o polskich „landlordach”, niż uroczyste i publiczne, ale przeważnie głołosłowne zapewnienia.

George Mandel

W stosunkowo krótkim odstępie czasu doszła nas wiadomość o zgonie dwu wielkich Francuzów: Eduarda Herriota i George'a Mandela.

Nazwisko Herriota — męża stanu i literata — ma na świecie swą wyrobioną markę. Jednak w obecnej wojnie grał Herriot raczej rolę bierną. Nawet jego odważny gest — odesłanie Pétainowi insygniów Legii Honorowej, gdy ten udekorował tym odznaczeniem dwu „kolaborantów” — gest, który nota bene kosztował Herriota wolności i kto wie, czy nie życie, był mimo wszystko tylko gestem. Biernym wyrazem oporu.

Natomiast George Mandel, wybitny polityk i administrator, nazwisko znane we Francji, ale mniej znane za granicą, zabłysnął dopiero podczas obecnej wojny tą jaskrawą wielkością, która zdobywa miejsce w historii i w Panteonie.

Mandel urodził się w r. 1885 i właściwie jego nazwisko jest Rothschild (nie z rodziny znanych bankierów). Miał duże zdolności dziennikarskie i jako 19-letni młodelec współpracował w piśmie „L'Aurore”, wydawanym przez Clemenceau. Od tego czasu stał się wiernym adiutantem „Tygrysa”. Może dlatego w cieniu wielkości człowieka, który wygrał poprzednią wojnę, nazwisko jego nie mogło się wybić. Ale świadczy to również o charakterze George'a Mandela. W roku 1913 założył Clemenceau pismo „L'Homme Libre” („wolny człowiek”). Jego głównym współpracownikiem jest Mandel. Pismo atakowało odważnie i bezwzględnie niekompetencje i błędy francuskiej armii w pierwszym okresie wojny. Trzeba na to sporo odwagi cywilnej. Wojsko bywa zwykle, zwłaszcza w czasach wojny, wszechpotężne i bardzo zazdrośne o swój zasłużony — a jeszcze częściej niezasłużony — autorytet, i dość bezwzględnie i beceremonialnie w utracaniu ludzi niewygodnych. Kiedy, na skutek nacisku wojska, rząd zamknął pismo, Clemenceau wraz z Mandelem założył nowe pismo, które nazwali złośliwie „L'Homme Enchaîné” („człowiek w łańcuchach”). Gdy Clemenceau został w r. 1917 premierem, Mandel jako dyrektor jego gabinetu w niemalym stopniu dzielił zasługi „ojca zwycięstwa”.

Dopiero po wojnie, w r. 1919, został wybrany Mandel do parlamentu w okręgu Gironda i mandat ten zatrzymał aż do końca. W r. 1934 został ministrem Poczty i Telegrafu w gabinecie Flanadina. W r. 1937 ministrem kolonii w gabinecie Daladiera, a na dwa tygodnie przed załamaniem się Francji ministrem spraw wewnętrznych w gabinecie Reynaud'a. I wtedy jego odwaga i patriotyzm zabłysły najpiękniej. Mandel do końca sprzeciwiał się kapitulacji i był głową oporu przeciw defetyzmowi generalów i zdraździe Laval'a. Gdy Pétain skapitulował, mógł Mandel uciec. Groziło mu jako Żydowi niebezpieczeństwo większe niż innym. Lord Lloyd, który przyjechał wówczas do Bordeaux w jakiejś ostatniej, oficjalnej misji, zaofiarował mu miejsce w swym samolocie. Mandel odpowiedział: „J'ai trop de bagage, Monsieur!” Zdziwiony Lord Lloyd począł tłumaczyć, że to przecież teraz rzecz zupełnie nieważna. „Vous ne comprenez pas. Je veux dire — la France!” Ten typowo francuski patos ma swoje znamie wielkości.

Zaareztowano go niemal natychmiast. Zażądał osobistego widzenia z Pétainem. Stary marszałek począł się nieznacznie tłumaczyć. Mandel zażądał przeproszenia na piśmie. Pétain napisał je własnoręcznie pod dyktando Mandela. Reszta to już tylko historia lajdackiej zdrady. Mandel, Reynaud, Ivon Delbos i paru innych otrzymali pozwolenie na wyjazd do Afryki Północnej na okręcie „Massilia”. Podstępnie jednak wydano rozkaz, aby im nie pozwolić na lądowanie. „Massilia” odesłano z Casablanki z powrotem do Marsylii, gdzie ich aresztowano i osadzono w twierdzy. Harold Nicolson opowiada w „Spectatorze”, że po paru tygodniach posłał Pétain swego adiutanta, — wyższego oficera francuskiego, — aby dowiedział się o warunkach, w jakich więźniowie żyją. Oficer siedł od celi do celi. Wszędzie otrzymywał tę samą odpowiedź: „Więźnienie jest więzieniem i nie czynimy sobie żadnych lask!” Na koniec wszedł oficer do celi Mandela. „Nagle!” — pisze Nicolson — ciszę twierdzy przerwał głośny krzyk. Krzyk, który musiał odbić się echem od Tarbes do Carcassonne. To krzyczał Mandel swym potężnym głosem: „Monsieur, vous êtes au service de l'ennemi. Quittez ma cellule!”

14 lipca (—coż za dziwny zbieg okoliczności. Ten człowiek i ta data!) — radio Vichy ogłosiło wiadomość o nagłej śmierci Mandela. Okoliczności jego zgonu są jeszcze niejasne. Zginął podobno na ulicach Paryża w czasie przewożenia z więzienia Santé do jakiegoś innego więzienia czy obozu. Vichy doniosło, że transport został zaatakowany w czasie przejazdu, że wywiązała się walka i że w czasie tej walki Mandel został zabity. Co zaszło? Kto atakował transport? Czy byli to przyjaciele, śpieszący na ratunek, czy wrogość, likwidujące stare obrachunki? Nie wiadomo. Mandel zginął tak jak żył. Niezlomny i w walce.

H. S. Dominik

KOBIETA W CZERWONYM KRZYŻU

W osiemdziesiątą rocznicę powstania Czerwonego Krzyża.

Trzeba przyznać, że idea Czerwonego Krzyża nie zapuściła w Polsce tak głębokich korzeni, jak gdzie indziej.

Jest to wytłumaczalne. Los Polski, pozbawionej przez 150 lat własnej państwowości, sprawił, że do chwili odzyskania niepodległości w 1918 r., działalność Czerwonego Krzyża na ziemiach polskich odbywała się bez udziału społeczeństwa polskiego; prowadzili ją państwa zaborec pod swoją — lecz obcą nam — egidą. Młody jest Polski Czerwony Krzyż, gdyż jako instytucja, uznana na forum międzynarodowym, mógł się narodzić dopiero z chwilą przystąpienia Państwa Polskiego do Konwencji Genewskiej w r. 1919.

Od swego powstania Polski Czerwony Krzyż szybko rozwinął intensywną działalność w całym kraju. W okresie pokojowym unormował swój byt prawny, przystosował swoją organizację do zasad ideologicznych Konwencji Genewskiej, wzorując się pod tym względem na ustroju bratnich instytucji innych krajów, nawiązał z nimi ścisłą współpracę, dzielnie przygotowywał się do zadań, oczekujących go w czasie wojny, i przyczynił się do współdziałania społeczeństwa polskiego z instytucjami i władzami państwowymi nad podniesieniem zdrowotności publicznej.

Wkrótce cały kraj obsiany został siecią kilkuset placówek sanitarno-społecznych. Liczne zastępy wyszkolonych przez Polski Czerwony Krzyż siostr-pielęgniarek fachowo i ofiarnie wykonywały swoją pracę samarytańską.

Wrzesień 1939 r. był pierwszą próbą ogniozą zaprawionego do swych obowiązków Polskiego Czerwonego Krzyża. Od tej chwili, w różnych zmiennych warunkach trwał na posterunku.

Jednakże tradycje nie wytwarza się na przestrzeni lat dwudziestu, zwłaszcza nie mogło jej wytworzyć społeczeństwo, posiadające młody organizm państwowy. Młody Polski Czerwony Krzyż nie mógł zakorzenić się w świadomości społeczeństwa rodzinnego tak głęboko, jak to miały możliwość uczynić kraje, rozwijające działalność czerwono krzyżową w ciągu lat prawie osiemdziesięciu.

Nic przeto dziwnego, że jego znaczenie, rola i zasługi w społeczeństwie naszym są niedostatecznie znane i nie dość docenione.

W dobie obecnej, w której Rząd i społeczeństwo polskie na emigracji, a przede wszystkim żołnierz nasz wyzwa Polkę na obczyźnie do spełnienia jej powinności obywatelskiej i humanitarnej, godzi się słów kilkoma powiedzieć o tym, czym jest Czerwony Krzyż dla kobiety.

Czerwony Krzyż daje nowoczesnej kobiecie szerokie pole do rozwoju jej instynktu macierzyńskiego dla dobra wielkiej rodziny, bo całej ludzkości. W tej oto roli, niedosć podkreślanej, jaką odgrywa instytucja Czerwonego Krzyża w naszym życiu społecznym, tkwi jedna z wielkich jej zasług: Czerwony Krzyż przysposabia kobietę do jej naturalnego powołania siostry miłosierdzia.

Dzieje Czerwonego Krzyża świecą pięknymi przykładami.

Powszechnie wiadomo, że twórcą idei i organizacji Czerwonego Krzyża jest genewski lekarz Jan Henryk Dunant, autor malej książeczki „Wspomnienie z Solferino”, napisanej w 1862 r., która stworzyła epokę. Lecz mało jest znany drobny szczegół, że skromny Dunant, w 13 lat później, w jednym ze swych listów sam przyznaje, że właśnie dzieło samarytańskie Miss Florence Nightingale podczas wojny krymskiej było tym, co natchnęło go do udania się do Włoch w r. 1859, by nieść pomoc rannym żołnierzom. Nie jest widocznie rzeczą przypadku, że muza Czerwonego Krzyża była kobietą.

Miss Nightingale wywalczyła u rządu angielskiego dla siebie i swej ekipy sanitarnej prawo udania się na wojnę krymską, by podjąć na miejscu walkę ze śmiercią. Była to wojna szczególnie potworna: od zaraży morowej ginęło wielokrotnie więcej żołnierzy niż od kul nieprzyjacielskich. Wyniki fachowej pracy sanitarnej okazały się fantastyczne: po krótkim czasie śmiertelność w skutek zarazy z 42% zmalała do 2%, „Imię Florence Nightingale, pieśń dla samarytanek i cywilnej na polu walki, stało się pojęciem niemal świętym. Była to druga królowa Anglii” — pisze o niej Gumpert w swej biografii Dunant'a. Postać Miss Nightingale przeszła do legendy. Legenda głosi, że, gdy Florence Nightingale nocą obchodziła improwizowane sale szpitalne z przyćmioną lampą

oliwną w ręce, ranni żołnierze całowali jej cień. Sprawiedliwy los sprawił, że czyn jednej kobiety stał się bodźcem do powstania, w kilka lat później, wszechświatowej instytucji humanitarnej. Lecz Florence Nightingale nie jest tylko zwistunką Czerwonego Krzyża. Jej wielkie zasługi są również konkretne i realne. Jest ona rzeczywistą matką nauki i sztuki pielęgniarstwa. Po całodziennych pracach samarytańskich po nocach pisała raporty, wysłane do Anglii. Sprawozdania te stały się podstawą dla pierwszego nowoczesnego podręcznika pielęgniarstwa. Gdy wróciła do domu, założyła w Londynie w r. 1860 przy Szpitalu Św. Tomasza pierwszą nowoczesną szkołę pielęgniarstwa, która Anglię ochrzciła jej imieniem. Dziełem Florence Nightingale jest powstanie w Anglii zawodu pielęgniarzkiego, opartego na naukowych podstawach.

Wspomnijmy drugą kobietę wielkiego serca i umysłu — Clare Barton. Młoda sanitariuszka podczas secesyjnej wojny amerykańskiej, wyrosła Clara Barton w ojczyźnie swej na bohaterkę, symbolizującą ideę humanitaryzmu. Kobieta o nieustraszonej odwadze kierowała się w swej pracy samarytańskiej na polu walki jednym hasłem, które wyraziła w słowach „śpiesz się za armatą”. Jej białą suknię dwukrotnie przeszyły kule. „Ptakiem-burzą” nazywali ją żołnierze. Po zakończeniu wojny Clara Barton oddała całe życie Czerwonemu Krzyżowi. W Stanach Zjednoczonych była ona pierwszą krzewicielką jego idei. Pierwsza odkryła rodakom instytucję Czerwonego Krzyża jako organizację o charakterze i zasięgu międzynarodowym. Przez siedemnaście lat bezustannie walczyła z przesadami ówczesnego izolacjonizmu i dzięki swej wytrwałości osiągnęła, że Rząd Stanów Zjednoczonych zgodził się w r. 1881 na przystąpienie do Konwencji Genewskiej z r. 1864. Clara Barton powołana została wówczas do zorganizowania Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, najpotężniejszej dziś na świecie narodowej instytucji humanitarnej, liczącej swych członków na miliony. Ją też ojczyzna obdarzyła godnością pierwszego prezydenta Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, którą sprawowała przez prawie 25 lat. Po niej urząd ten został zarezerwowany ustawowo dla każdorazowego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Cisną się na usta słowa szekspirowskiej Porcji. „So shines a good deed in a naughty world”. („Tak oto jaśnieje dobry uczynek w złym świecie”).

Przysły historyk, badając naszą rzeczywistość i nurtujące w niej prądy ideowe, niezawodnie poświęci oddzielną kartę Czerwonemu Krzyżowi. Powie on wówczas, że w mrocznym okresie nienawiści i barbarzyństwa, wojen światowych coraz bardziej niszczycielskich, instytucja Czerwonego Krzyża stanowiła jedyną żywą ostoję człowieczeństwa na miarę światową, będąc jedyną organizacją międzynarodową, która w okresie wojennym pozostała przy życiu i utrzymała powszechny autorytet moralny. Historyk podkreśli również, że Czerwony Krzyż, organizując działalność humanitarną podczas wojny i pokoju, tę wielką ponosi zasługę, iż przywoływał macierzyńskie instynkty na usługi wielkiej rodziny narodów i umożliwiał nowoczesnej kobiecie wypowiedź jej samarytańskich uczuć i wrodzonych zamiłowań.

W roku bieżącym przypada osiemdziesięciolecie powstania Czerwonego Krzyża, związanego w swym istnieniu z pierwszą Konwencją Genewską z dnia 22 sierpnia 1864 r. Osiemdziesięcioletnia praca Czerwonego Krzyża w dziedzinie pielęgniarstwa i szkolnictwa sanitarnego przyczyniła się do powstania niemal że na całym świecie armii kobiecych, pełniących służbę zwrovia. Dziś Czerwony Krzyż śpieszy na pola walki — trafia do serc ludzkich, niosąc rannym i chorym żołnierzom leczenie i ukojenie. W obliczu kataklizmu wojennego potrzeby pracy samarytańskiej są i będą w najbliższej przyszłości ogromne.

Na barki Polskiego Czerwonego Krzyża na emigracji spadł wielki obowiązek niesienia pomocy sanitarnej i ulgi w cierpieniu — przede wszystkim żołnierzowi polskiemu, torującemu drogę do Kraju. Rannemu i choremu żołnierzowi służy sanitariat wojskowy i Korpus Siostr PCK. Pomoc ta jest jednak niewystarczająca: jest nieodzowna dziś, będzie niemniej zbawienna jutro.

Polska czeka na swoją Miss Florence Nightingale i Clare Barton.

js.

Z PRASY OBCEJ

PLANY POWOJENNE

„La Suisse” z 10 kwietnia b. r. omawia różnice poglądów, zarysowujące się w opinii publicznej krajów anglosaskich w związku z podstawowymi zagadnieniami organizacji powojennej Europy.

„Istnieją dwa główne prądy opinii publicznej: pierwszy przewiduje utworzenie nowej Ligi Narodów w ramach światowych; drugi wypowiada się na rzecz utworzenia bloków państw, z których każdy poddany będzie przeważającemu wpływom jednego z wielkich mocarstw.

Obecnie już należy podkreślić przemogły wpływ, jaki wywierać będzie Związek Sowiecki na przyszłe decyzje. Jeśli to wielkie państwo wyjdzie z wojny zmęczone i wyczerpane, rozwiązania typu światowego będą — być może — miały szanse zwycięstwa, przynajmniej na czas pewien. Jeśli jednak ZSRR prowadzić będzie politykę ekspansji, wojna zakończy się bardzo prawdopodobnie utworzeniem trzech lub czterech bloków państw, które będą usiłowały wytworzyć między sobą równowagę, i z których każdy pozostawać będzie pod kierownictwem jednego z wielkich mocarstw.

Najbliższe umysłom anglosaskim są rozwiązania o typie federacyjnym w skali światowej. Jednakże, wobec biegu wydarzeń, wobec stale wzmagającej się śmiałości dyplomacji sowieckiej następująca za Kanalem La Manche reakcja na rzecz mniej śmiałych rozwiązań. Oto jak, według londyńskiego korespondenta „Die Tat”, pewne organy brytyjskie zareagowały na „17 punktów” Cordella Hulla.

Echo tej deklaracji w Stanach Zjednoczonych było tak niekorzystne, że Londyn ze swej strony nie uważał za możliwe niczego do niej dorzucić. Wolno więc sądzić, że obserwatorzy brytyjscy podzielały opinię prasy amerykańskiej, która twierdzi że „wypowiadanie miłych dla ucha

ogólników nie stanowi jeszcze programu polityki zagranicznej”.

Waszyngtoński korespondent „Timesa” obawia się, że podobnie jak po pierwszej wojnie światowej przesadny idealizm w rodzaju Cordella Hulla doprowadzi dzisiaj ponownie do gwałtownego rozczarowania i w ostatecznym rezultacie zaskodzić może całemu dziełu współpracy międzynarodowej. Anglia zarzuca amerykańskiej polityce zagranicznej brak umiaru. Realistę angielscy widzą wielkie niebezpieczeństwo w szerokiej planach pewnych myślicieli i polityków amerykańskich: niebezpieczeństwo mierzenia zbyt wysoko, co przyniesie może konieczność późniejszego wycofywania się z zobowiązań, jakich przyjęcia wymagają tak daleko idące cele.

Hasło Cordella Hulla: „Bez sojuszków, bez umów partykularnych” sprzeciwia się w istocie zarówno polityce brytyjskiej, jak rosyjskiej.

Polityka sojuszków w Europie Wschodniej, jaką prowadzi Rosja, oraz utworzenie bloku narodów w Europie Zachodniej, czego pragnęła by W. Brytania, zmierzają właśnie do stworzenia, zapomocą systemów bezpieczeństwa regionalnego, gwarancji przeciwko nowym agresjom „państw drapieżnych”. Anglicy gotowi są do współpracy przy tworzeniu organizacji bezpieczeństwa międzynarodowego w formie nowej Ligi Narodów lub stowarzyszenia Narodów Zjednoczonych, które będzie rozszerzone w czasie pokoju.

Tymczasem, bronią oni dzisiaj koncepcję, jaką Francuzi głosili w r. 1919: „Organizacja taka nie czyni niepotrzebnymi sojuszków i porozumień regionalnych, lecz, przeciwnie, może być skuteczna, tylko w razie ich jednoczesnego istnienia”.

Istnieje w tym punkcie zgodność opinii pomiędzy zwolennikami „bloku atlantyckiego” oraz wyznawcami „europejskiej federacji kontynentalnej”.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dobiega już miesiąc od chwili rozpoczęcia powstania w Warszawie. I Warszawa ciągle jeszcze się trzyma. Rzecz oczywista, trzyma się kosztem olbrzymich ofiar. W komunikatach pojawiła się nazwa nowej Stacji Męki Polskiej — Pruszków. Trudno pisać o tych sprawach. Jakichkolwiek słów by się użyło, wszystkie one wydają się puste i słabe w obliczu tragedii warszawskiej. Chciałoby się jak najmocniej krzyknąć o to, co nie jest żadną łaską, ale co się ludziom, walczącym i męczonym w Warszawie, z najelementarniejszego prawa należy: o amunicję, o broń, o opiekę Czerwonego Krzyża, o przyznanie prawa kombatantów. Jakież słowa znaleźć, żeby głuchy świat krzyk ten usłyszał?

Należy być wdzięcznym zarówno tygodnikowi „The Economist”, jak i Vernonowi Bartlettowi z „News Chronicle” za ich odważne artykuły o powstaniu warszawskim. Polska Armia Podziemna walczy w Warszawie z Niemcami. Zdawałoby się, że świadomość tego powinna dominować nad wszelkimi ubocznymi względami politycznymi. Jest tymczasem inaczej. Jedyna pomoc, jaka dotarła do Warszawy, dotarła do niej z zachodu, z odległych baz brytyjskich. Tymczasem mimo iż armia sowiecka stoi o kilkanaście kilometrów od Warszawy, ze wschodu żołnierze Armii Krajowej otrzymali tylko pouczenia, nie otrzymali żadnej pomocy.

Sprawa pomocy dla walczącej Warszawy to dzisiaj już nie tylko sprawa takich czy innych względów politycznych, to już sprawa, zahaczająca o pewne podstawowe zasady stosunku człowieka do człowieka. Wojna, którą o tym zapomnieliśmy, byłaby wojną nie tylko „coraz mniej ideologiczną”, byłaby wojną ideologicznie tragicznie przegraną. W głosach londyńskich brzmiałoby i przerażenie. Wyrosły one z przekonania, że sprawa Warszawy grozi w przede dniu zwycięstwa kompromitacją moralną obozu Sprzymierzonych. Groźnym i niepokojącym znakiem zapytania była reakcja „cywilizowanego” świata na masowe rzezie Żydów, drugi taki znak zapytania podniósł się nad Warszawą. Wiemy wszyscy, że Niemcy są barbarzyńcami. I wiemy, że zostaną w tej wojnie pokonani. Ale wcale nie wiemy, czy nie pozostawią w spadku po sobie w świecie zarazy barbarzyństwa.

Szybkość, z jaką obecnie przychodzą nowe wydarzenia wojenne i polityczne, jest oszołamiąjąca. Jeszcze tak niedawno komunikaty wojenne dreptały w miejscu na niewielkim odcinku wybrzeża normandzkiego, a dziś jak w zwirowanym kalejdoskopie każdy komunikat miga nam przed oczyma nazwami miast francuskich z północy, południa, zachodu. W tym samym komunikacie znaleźć można wymienione Brest i Marsylie, Montelimer i Rouen, Paryż i Briançon. Komu się od takiego różniaczka nazw nie zawróci w głowie, ten ma albo wyjątkowo mocną głowę, albo bardzo słabą wyobraźnię. Kładziemy się spać w przeświadczeniu, że armie Sprzymierzonych stoją nad Sekwaną, budzimy się i zastajemy je nad Marną. W komunikatach wojennych zaczynają się pojawiać nazwy, dobrze znane z historii poprzedniej wojny. Pojawiają się jakby poto, aby nam umysłowość całą przepaść, jaka istnieje między charakterem operacji wojennych z tamtej wojny i obecnych. Umysławiają nam jeszcze coś innego: że we Francji nie ma w tej chwili jednej, ciągłej linii frontu. Front taki trząsnął kilka tygodni temu i po dziś dzień Niemcom nie udało się go na nowo sformować. Komunikaty niemieckie mówią o operacjach, przebiegających zgodnie z planem. Znamy ten język. Tak brzmiały komunikaty francuskie w dni czerwcowe 1940 r.

Problem, jaki się zarysowuje, brzmi: czy Niemcy będą zdolni do ustalenia linii frontu w północno-wschodniej Francji, czy też linią tą będzie linia Siegfrieda. Być może, że z chwilą kiedy słowa te dojdą do czytelnika, znajdzie on już odpowiedź na to pytanie w komunikatach wojennych.

Nie można dość energicznie podkreślić roli, jaką w wyzwaniu Francji odgrywa francuska armia podziemna — maquis. Komunikaty są — rzecz prosta — skąpe w szczegóły o jej działalności, ale i na podstawie tych szczegółów, jakie podają, można sobie wyrobić pojęcie, iż armia ta działa wyjątkowo sprężyście i sprawnie, że działania jej są dobrze zgrane z operacjami wojsk anglosaskich oraz że stanowi ona bardzo poważną siłę. Zarówno zaś, jak i sprawność tego ruchu tłumaczą nam dzisiaj zagadkę powodzeń gen. de Gaulle'a. Jeszcze nie tak dawno gen. de Gaulle miał przeciwko sobie raczej nieprzychylną opinię angielską i zdecydowanie niechętną Amerykan, przeciwko niemu był znaczny odłam lokalnej administracji Północnej Afryki Francuskiej, jego przeciwnikiem politycznym był gen. Giraud. Zdawało się, że trudno było nie ulec w takiej sytuacji. Tymczasem de Gaulle wszystkie te przeciwnictwa pokonał. Dziś widzimy jasno, jaką siłę reprezentuje.

Zwycięstwo jego jest tym pełniejsze, że z chwilą, kiedy doszło do wyswabiania Francji, Vichy rozpadło się niemal automatycznie. Unaczyniło to szczególnie jaskrawo prawdziwy charakter tego reżimu, który był tylko funkcją przemocy okupanta. W tym świetle protest starego marszałka przeciwko wywożeniu go przemocą z Vichy Niemcom brzmi jak tragiczne nieporozumienie. Czymże bowiem innym był on przez cztery ostatnie lata, jak nie narzędziem przemocy niemieckiej?

Zwycięstwo de Gaulle'a jest więc pełne. Nikt już nie zastanawia się dzisiaj nad kwestią uznania czy nieuznania jego rządów. Tym niemniej sytuacja jego nie jest w tej chwili wcale łatwa. Obejmuje kraj straszliwie zrujnowany okupacją i spustoszoną wojną, w którym napięcie antagonizmów politycznych i społecznych jest duże. Wybitni wodzowie czasu wojny rzadko kiedy okazali się dobrymi kierownikami nawy państwa w czasie pokoju. Ale de Gaulle dysponuje szeregiem poważnych atutów. Wypędzenie Niemców z terytorium francuskiego to dopiero połowa zadania. Druga połowa — to przywrócenie Francji należnej jej pozycji międzynarodowej. Otóż de Gaulle zdobył w ciągu ostatnich czterech lat kapitał zaufania, który wypadki ostatnich dni jeszcze pomnożyły. Francuzi wierzą, iż jest on właśnie tym człowiekiem, który ma najwięcej kwalifikacji do wywalczenia Francji stanowiska jeśli już nie sprzed wojny — bo tego w obecnym układzie sił żaden czarodziej polityczny by doko-

nać nie potrafił — to w każdym razie takiego, w którym głos Francji w koncercie mocarstw brzmiałby mocno i wyraźnie.

Niemcom brak rezerw na ustabilizowanie i zorganizowanie frontu we Francji. Właśnie dlatego twarzą logiką wojenna postawiła przed nimi zadanie zorganizowania jeszcze jednego takiego frontu — w Rumunii. Porównanie ich reakcji na zamach stanu króla Michała z tym, jak zareagowali na zamach stanu Wiktora Emanuela przed rokiem, jaskrawo umysławia, jak ogromnie pogorszyła się sytuacja Rzeszy w ciągu tego ostatniego roku. We Włoszech Kesselringowi przy pomocy bardzo nieznacznych tylko sił udało się w sposób wyjątkowo szybki opanować sytuację, jaka się wytworzyła po upadku reżimu faszystowskiego, i dziś, po roku, znaczna część Włoch jeszcze czeka na wyzwolenie spod okupacji niemieckiej.

Położenie geograficzne Rumunii sprawia, że dla opanowania w niej sytuacji potrzeba by było znacznie większych kontyngentów wojsk od tych, jakich użyto we Włoszech. Ale zato Niemcy mieli tu do dyspozycji wojska węgierskie. Mimo to nie nie zapowiada, aby sytuację tę mieli opanować. A tymczasem wojska rosyjskie walczą już na terytorium przyłączonego do Węgier Siedmiogrodu.

Rumuński zamach stanu zapowiada nie tylko nowy dramatyczny rozwój sytuacji wojskowej, ale też i możliwość poważnych niespodzianek politycznych. Balkany są terenem, gdzie o takie niespodzianki najłatwiej. Jedną z nich zarysowuje się już wcale wyraźnie. Oto jest rzeczą wcale możliwą, że Bułgaria znajdzie się jako „sojusznik”, walczący po stronie Sprzymierzonych, wcześniej od Turcji. Możliwość ta zresztą już dzisiaj wywołuje poważne zaniepokojenie Greków i Jugosłowian.

Poza tym poszczególne mocarstwa w różny sposób inwestowały na Balkanach swe kapitały polityczne. Anglicy umocnili się w Jugosławii, ale ciągle jeszcze nie udaje im się doprowadzić do porozumienia stronniczych politycznych w Grecji, na której z natury rzeczy musi im najbardziej zależeć. Rosjanie znów w latach 1939 — 1941 odgrywali rolę politycznego patrona Bułgarii, a i potem mimo wkroczenia wojsk niemieckich do Bułgarii nie zerwali z nią stosunków dyplomatycznych; jest też rzeczą prawdopodobną, że będą popierali Bułgarów w ich roszczeniach do otrzymania po wojnie wyjścia na morze Egejskie. Wiele też jest jeszcze niejasnych punktów w stosunkach turecko-rosyjskich. Wszystko to każe nam oczekiwać na politycznym froncie bałkańskim możliwości szeregu niespodzianek.

Mimo szeregu klęsk i coraz bardziej pogłębiającej się beznadziejności sytuacji wojennej Rzeszy wojska niemieckie nie okazują oznak załamania moralnego. Walczą dalej z fanatyzmem i uporem. Zważenie w sensowność dalszej walki, jak się zdaje, nie dosięgło jeszcze Niemców poniżej rangi generalskiej. W tej sytuacji ze szczególnym napięciem słucha się audycji radii niemieckiego: czym propaganda dra Goebbelsa karmi obecnie masy niemieckie? Przy pomocy jakich cudów utrzymuje je w dalszym ciągu w ryzach i podsyca w walczących żołnierzach fanatyzm bojowy?

Nielatwo znaleźć w audycjach niemieckich odpowiedź na to pytanie. Cotygodniowe kome-

tarze gen. Dittmara są bardzo męskie w podkreśleniu grozy sytuacji wojennej. W tym jednak, co ma przynieść zapowiedź poprawy sytuacji, wpadają w czysty werbalizm propagandowy. Ostatnie zarządzenia administracyjne: zamknięcie teatrów, cyrków, rozwiązanie orkiestr, likwidacja większości czasopism — są zupełnie niewspółmierne z powagą sytuacji. Wszystkie te zarządzenia mogą w najlepszym dla Niemców razie przynieść kilkanaście nowych dywizji, które będzie można rzucić do walki za kilka miesięcy, t. zn. najprawdopodobniej już po wojnie. Poza tym podsyca się wśród Niemców mistyczną wiarę w skuteczność latających bomb i w tajne rodzaje broni, jakie ma przynieść niedaleka przyszłość.

Zwłaszcza bomby latające i ich skutki zajmują w komunikatach niemieckich nieprawdopodobnie dużo miejsca. W zaślepieniu swoim Niemcy nie widzą, że owe bomby to z punktu widzenia politycznego jeden z najcięższych błędów, jakie popełnili w tej wojnie. Dla nikogo dziś już chyba nie może podlegać wątpliwości, że bomby latające nie potrafią wpłynąć na tok działań wojennych. Nie ulega jednak również wątpliwości, że jest to broń wyjątkowo dokuczliwa. Broń, która w sposób szczególnie dobitny uciążliwym Anglikom niebezpieczeństwo militarystyki niemieckiej i konieczność definitywnego zniszczenia Niemiec. Jeszcze kilka miesięcy temu teorie lorda Vansittarta nie miały w Anglii najlepszej prasy. A dziś Niemcy systematycznie wysyłają do Anglii dzień w dzień i noc w noc emisariuszy, bardzo skutecznie propagujących vansittartzm. Jeśli zaś zdąży jeszcze przed końcem wojny — jak się odgryżają — zmontować wyrzutnie pocisków rakietowych, któreby sięgały aż na kontynent amerykański, może uda im się nawrócić na vansittartzm także i Amerykan.

W rozgłosie, jaki Niemcy nadają latającym bombom, brzmi pewna nuta, którą dziś coraz wyraźniej się słyszy w komunikatach niemieckich. Kiedy radio niemieckie — w dwa dni po komunikacie rosyjskim — przyznało się do oddania Dorpatu, podkreślano, że wojska niemieckie oddały Rosjanom nie miasto Dorpat, ale kupę grzybów. Kiedy komunikat niemiecki musiał wreszcie wykrztusić, że w Paryżu toczą się walki Francuzów z wojskami okupacyjnymi, nie omieszkali dodać na pociechę swoim słuchaczom — i to, jak się zdaje, nieścisłe — że na walkach tych Paryż bardzo uciepiał. Brzmi to wszystko jak ponure pocieszenie: wpadamy w przepaść, ale pociągamy za sobą całą Europę.

Bardzo niewiele komentarzy można znaleźć w prasie na temat toczących się obecnie w Ameryce rozmów, poświęconych sprawie zabezpieczenia przyszłego pokoju. A przecież jest to sprawa kapitalnej ważności. Zdaje się, że projekt wyskoczy na świat gotowy, jak Minerwa z głowy trzech Jowiszów. W komentarzach ciągle się powtarza twierdzenie, iż nowa organizacja pokoju powinna posiadać silną egzekutywę, działać sprawnie od poprzedniej, że powinna się oprzeć na sile wielkich mocarstw. W tych nawoływaniach do sprawności i siły nowej organizacji zbiorowego bezpieczeństwa jest dużo słuszności. Ale można się obawiać, że tej skuteczności i siły w nowej organizacji światowej będzie za dużo. Ostatecznie, najłatwiej kieruje się marionetkami.

ww.

NAUKA POLSKA W IRANIE

Études Iraniennes. — Studia Irańska, tom II. Teheran 1944. Wydawnictwo Towarzystwa Studiów Irańskich. Str. 160.

Ruchliwe i nader czynne Towarzystwo Studiów Irańskich, którego prezesem jest profesor Stanisław Kościakowski, obdarzyło nas nowym tomem prac naukowych z zakresu iranistyki. Jest to tylko jedna z dziedzin działalności Towarzystwa, które za cel postawiło sobie zbliżenie polsko-irańskie drogą osobistego kontaktu naszych uczonych i działaczy społecznych ze sferami naukowymi i towarzyskimi Iranu, drogą ogłaszania prac swych członków w czasopiśmie i codziennym prasie perskiej, organizowania Biblioteki Iranoznawczej, która pomnoży w przyszłości zbiory nasze z zakresu orientalistyki, i wycieczek naukowych po Iranie, oraz akcji odczytowej wśród uchodźców polskich.

Tom II Studiów nosi w przeciwieństwie do tomu pierwszego, poświęconego zagadnieniom geograficznym, gospodarczym i politycznym — charakter humanistyczny. Mamy tu treść czterech wykładów, ogłoszonych w TSIR przez p. Said Naficy, profesora literatury perskiej Uniwersytetu w Teheranie, o najwybitniejszych przedstawicieli literatury perskiej i kierunkach, które reprezentują. Szkoda wielka, że autor nie wskazał na związki, które istniały między kulturą i literaturą perską a innymi kulturami Wschodu. Dla słuchacza Persa, rzecz to może niepotrzebna, bo dobrze znana, słuchacz względnie czytelnik zaś polski mógłby na podstawie wykładów dojść do fałszywych konkluzji, że w poezji perskiej nie ma żadnych wpływów obcych. Mówiąc o Saadim i poezji lirycznej, Naficy ani słowem nie wspomina, że wszystkie formy poezji perskiej, struktura ich poszczególnych części jest naśladownictwem wzorów arabskich. Nie ma sensu tego ukrywać, podobnie jak śmieszny byłoby, gdyby Arabowie ze swej strony chcieli założyć, że najwybitniejsi ich średniowieczni uczeni, piszący w języku arabskim, wywodzą się z Persji.

Prof. Kościakowski podjął się trudnego zadania, zamieszczając rozprawę „Iranoznawstwo i iranologia”. W Teheranie korzystać można tylko ze skąpego materiału bibliograficznego w językach europejskich. Tym wdzięczniejsi jesteśmy za zestawienie najwybitniejszych prac z dziedziny iranistyki, poczynając od epoki greckiej aż po nasze czasy. Nie mniej musimy wyrazić nasze żale z powodu nieco macoszego potraktowania nauki polskiej i jej udziału w iranistyce. Wprawdzie ogłosił prof. Kościakowski specjalną rozprawę na temat stosunków polsko-irańskich w przebiegu wieków („L'Iran et la Pologne à travers les siècles”, Teheran 1943), do której odesła czytelnika polskiego, ale i tam brak wielu wiadomości, a niektóre są nieścisłe. W Teheranie trudno rzeczwiście zebrać materiał, dotyczący uczonych polskich i ich prac, ale można je było —

bodaj częściowo — uzupełnić tutaj w Palestynie przez korespondenta TSIR. Brak więc np. wzmianki o pracach Jana Rozwadowskiego, prof. U. J., nad stosunkami leksykalnymi między językami słowiańskimi a irańskimi. Brak notatki, że prof. T. Kowalski wykladał na U. J. i W.S.H. język i literaturę perską, zaś prof. Kurylowicz na U.J.K. język nowoperski. Pominięty został prof. S. Stasiak, następca prof. A. Gawrońskiego na katedrze U.J.K. Z dziedziny najstarszej archeologii obszarów zatoki Perskiej posiadamy również pracę p. dr Amelii Hertz. Prof. W. Kotwicz, jeden z najwybitniejszych orientalistów polskich, wydał w „Collectanea Orientalia” dwie rozprawy historyczne o stosunkach mongolsko-perskich. Warto też może było szerszą wzmiankę zamieścić o działalności X. Michała Wierczkowskiego T.J., misjonarza perskiego w XVIII w. Niedokładne są wiadomości o Roczniku Orientalistycznym. Część pierwsza pierwszego tomu wyszła w Krakowie w r. 1915 „wśród huku dział”. Część druga tomu pierwszego — w r. 1916/18 również w Krakowie.

Polska Akademia Umiejętności miała Komisję Orientalistyczną, która ogłosiła do wydruku wojny 1939 r. 33 prace naukowe, zaś Warszawskie Towarzystwo Naukowe posiadało swoją sekcję orientalistyczną, o czym prof. Kościakowski nie wspomina zupełnie.

Trzecia praca pochodzi od dr. Fr. Machalskiego, który zamieścił szereg przekładów urywków poezji perskiej od Firdusi'ego do współczesnych poetów.

W końcu: Sprawozdanie z działalności Towarzystwa od 20 listopada 1942 do 20 kwietnia 1944.

Całość wydana starannie — jeśli uwzględnimy warunki lokalne.

jwh.

EGGA VAN HAARDT W MUZEUM NARODOWYM BEZALEL W JERUZOLIMIE

W dniach od 3 do 14 września b. r. otwarta będzie w Muzeum Narodowym Bezalel w Jeruzolimie wystawa Eggi van Haardt. Protektorat nad tą wystawą objął Konsul Generalny R.P. w Jeruzolimie, p. Aleksy Wdźkoniński.

Wystawa obejmuje ponad 300 eksponatów: obrazy olejne, gwasze, pastele, tempery i akwarele, szkice, rysunki do projektów, studia głów grafitem, rysunki parafiną, drzeworyty i jedyne w swoim rodzaju skóro r y t y, oraz rzeźby, ceramikę i terakotę.

Redakcja „W Drodze” poszukuje do nabywania książki Marii Kuncewiczowej „Miasto Heroda”.

SZKOLNA BIBLIOTEKAZKA NA

WSCHODZIE

pod redakcją Dra L. Kurdybachy

Dotychczas ukazały się:

Tom

1. ALEKSANDER FREDRO : *Zemsta*, oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 142
2. JAN KOCHANOWSKI : *Treny*, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 41
3. JULIAN NIEMCEWICZ : *Powrót posła*, oprac. Stanisław Kot. Str. 112
4. JAN KOCHANOWSKI : *Odpawa posłów greckich*, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 43
5. ZOFIA KOSSAK : *Nieznany kraj*, (w wyborze). Str. 221
6. STEFAN ŻEROMSKI : *Wierna rzeka*, Str. 130
7. HENRYK SIENKIEWICZ : *W pustyni i w puszczy*, Str. 326
8. ELIŻA ORZESZKOWA : *Nad Niemnem*, Str. 479
9. MARIA RODZIEWICZOWNA : *Lato leśnych ludzi*, Str. 177
10. ADAM MICKIEWICZ : *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*, oprac. Stanisław Pigoń. Str. 82
11. MARIA KONOPNICKA : *O krasnoludkach i sierotce Marysi*, Str. 195
12. MELCHIOR WANKOWICZ : *Bracia dalecy a bliscy*, (wybór z książki „Na tropach Smętka”) Str. 123
13. ADAM MICKIEWICZ : *Pan Tadeusz*, oprac. Manfred Kridl. Str. XVI i 324
14. ALEKSANDER FREDRO : *Słuby panieńskie*, oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 115
15. STANISŁAW WYSPIANSKI : *Wesele*, Str. 182
16. WŁADYSŁAW ORKAN : *W roztokach*, wstęp St. Pigoń. Str. 302
17. JULIUSZ SŁOWACKI : *Balladyna*, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 248
18. ANTONI MALCZEWSKI : *Maria*, powieść ukraińska, oprac. Józef Ujejski. Str. 87
19. ALOIŻY FELIŃSKI : *Barbara Radziwiłłówna*, oprac. Marian Szyjowski. Str. 97
20. STEFAN ŻEROMSKI : *Popioły*, t. I. Str. 384
21. STEFAN ŻEROMSKI : *Popioły*, t. II. Str. 416
22. ZYGMUNT KRASIŃSKI : *Nieboska komedia*, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 106
23. STANISŁAW WYSPIANSKI : *Warszawianka*, Pieśń z roku 1831. Str. 43
24. MARIA KONOPNICKA : *Książka dla Tadzia i Zosi*.
25. JULIUSZ SŁOWACKI : *Utwory pomniejsze w wyborze*, oprac. ks. Kamil Kantak. Str. 172
26. ADAM MICKIEWICZ : *Poezje*, oprac. Józef Kallenbach. Str. 192
27. JULIUSZ SŁOWACKI : *Lilla Weneda*, „Źródło” 1935, Kłopotliwy „Zemsta”
28. BOLESŁAW PRUS : *(Aleksander Głowacki)*, Faraon, t. I. Str. 352
29. BOLESŁAW PRUS : *Faraon*, t. II. Str. 363
30. JÓZEF I. KRASZEWSKI : *Stara baśń*, Str. 453
31. DANIEL DEFOE : *Robinson Krusoe*, Str. 103
32. ADAM MICKIEWICZ : *Dziady*, oprac. Józef Kallenbach. Str. 279
33. ZYGMUNT NOWAKOWSKI : *Przegląd Dobrej Nadziei*, Str. 219
34. WŁADYSŁAW ST. REYMONT : *Fermenty*, Str. 442
35. JANUSZ KORCZAK : *Król Maciuś I*, wstęp Ady Poznańskiej. Str. 264
36. JANUSZ KORCZAK : *Król Maciuś na wyspie bezludnej*, Str. 176
37. STANISŁAW WYSPIANSKI : *Noc listopadowa*, Str. 165
40. RUDYARD KIPLING : *Stalky i Sp*, Str. 233
41. ZABŁOCKI FRANCISZEK : *Sarmatyzm*, oprac. Henryk Galle. Str. 101
42. ELIŻA ORZESZKOWA : *Cham*, Str. 192
43. ZOFIA ROGOSZOWNA : *Dzieci pana majstra*, Str. 120, ilustr. K. Domańska i A. Drwęska.
44. STEFAN ŻEROMSKI : *Ludzie bezdomni*, Str. 323
48. Baśń polska (w wyborze). Str. 195, ilustr. K. Domańska i A. Drwęska.
49. BOLESŁAW PRUS : *Grażesława*, Str. 59

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.